

Zdzisław M. RURARZ

Bezdroża Polskiego
ROLNICTWA

Wydawnictwo Wici
Chicago, 2000

Bezdroża Polskiego
ROLNICTWA

© Copyright by **Zdzisław M. Rurarz**

Druk:
PANORAMA
3104 N. Cicero Ave.
Chicago, IL 60641
(773) 685 - 0406

Zdzisław M. RURARZ

Bezdroża Polskiego
ROLNICTWA

Wydawnictwo Wici
Chicago, 2000

Słowo wstępne

Problem rolnictwa, lub jak kto woli Wsi*, zaczyna dzielić Polaków na przełomie XX i XXI stulecia.

Powodem tego są nieporozumienia wokół stojących przed Polską wyzwań wewnętrznych i zewnętrznych.

W pierwszym przypadku, nie ma zgody co do tego *kto* ma głównie ponieść ciężar wyrównania istniejących różnic w poziomie rozwoju Wsi i Miasta. Wieś, która jakoby jest *winowajcą* swojego zacofania, czy też nie poczuwająca się do żadnej winy Miasto? Zapomina się przy tym, że przecież Miasto rozwijało się zawsze *kosztem* Wsi, szczególnie w latach istnienia PRL.

W drugim przypadku, sprawa jest nawet jeszcze bardziej skomplikowana. Polska bowiem jako *całość* będzie musiała ponieść koszty, dziś jeszcze nie wiadomo jak wielkie, za ewentualne przystąpienie do Unii Europejskiej.

Jeśli tak, to *kto* głównie ma ponieść koszty tego przystąpienia - Wieś czy Miasto?

Konflikt na linii Wieś-Miasto, w swojej istocie nedorzeczny i wymagający szybkiego wygaszenia zgodnym wysiłkiem wszystkich Polaków, jest w rzeczywistości *wysoco złożony* i stąd trudny do rozwiązania.

Przede wszystkim, różnice w poziomie rozwoju Wsi i Miasta są w Polsce **autentyczne** i co najwyżej można jedynie spierać się jak duże.

Wyrównanie ich, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, jest **niemożliwe** w ciągu jednego pokolenia. Rozłożenie zaś zadania na 2-3 pokolenia **nie jest** mobilizujące politycznie i ekonomicznie uzasadnione. Nie można

* w Polsce pojęcia "rolnictwo" i "wieś" występują razem, o czym świadczą takie przykłady jak istnienie *Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi* czy trzy programy rządowe w zakresie *rolnictwa i obszarów wiejskich*, traktujących **wspólnie** ich tematykę.

go rozciągać na dziesiątki lat, a ponadto w gospodarce, z wyczerpującymi się ekstensywnymi rezerwami wzrostu, międzygałęziowe różnice, jak te pomiędzy przemysłem i rolnictwem, należy *szybko* usuwać, gdyż inaczej jej równowaga będzie zachwiana.

Dodatkowym czynnikiem komplikującym sprawę jest, niestety, społeczna atmosfera. W odczuciu większości społeczeństwa bowiem, Wieś jest *kulą u nogi* Miasta. Nie dostrzega się jednocześnie faktu, że Miasto jest przecież *również* kalekie!

Tymczasem prawda jest taka, że tak jak Wieś *nie może* istnieć bez Miasta, gdyż jest wykluczone, żeby jej rynkiem zbytu była głównie zagranica, tak samo Miasto *nie może* istnieć bez Wsi, gdyż przemysł, w olbrzymim stopniu pracujący na rynek wiejski, nie byłby w stanie w przypadku jego zniknięcia utrzymać się przy życiu. Jego utraty nie odbije sobie na rynku światowym, gdzie ze względu na swoją niekonkurencyjność *niewiele* ma tam do szukania. Wątpliwe jest też czy byłby w stanie zastąpić eksport rolny eksportem swoich wyrobów, zwłaszcza szybko.

Polska Wieś i polskie Miasto są więc połączone *wspólnym* losem i **zgodnie** muszą odrabiać swoje zacofanie.

Ale *jak* odrabiać? Nierolnicze gałęzie gospodarki polskiej są przecież bądź na granicy opłacalności bądź już od lat wykazują nierentowność, a jeśli jeszcze produkują, to tylko dzięki wspieraniu ich kieszenią podatnika.

Rolnictwo z kolei, w całości już *nieopłacalne* bez względu na wielkość gospodarstwa i jego wydajność, jest następnym problemem.

I wreszcie, o czym *nie wolno* zapominać, zjawisko *niedorozwoju* polskiej gospodarki, w tym rolnictwa, w historii Polski **nie jest** żadną nowością.

Tak *zawsze* było, choć raz bywało lepiej, a raz gorzej.

Skoro więc problemu *nie rozwiązano* w ciągu ponad tysiąclecia, to skąd pewność, że teraz się uda i że Wieś przestanie błądzić?

Zdzisław M. Rurarz
Luty 2000 r.

CZĘŚĆ I:

OD POLSKI MIESZKOWEJ DO POKRĄGŁOSTOŁOWEJ

1. Nielaskawa historia.

A. Pierwsze 950 lat.

Rzadko kto z Polaków zdaje sobie sprawę z tego, że narodziny piastowskiego państwa powinien zawdzięczać *ornemu* rolnictwu, osiadłemu trybowi życia ich przodków, Wsi, która stworzyła **trwałą** podstawę dla zorganizowania licznych plemion w Państwo Polskie. Nadwyżka ekonomiczna tworzona w rolnictwie *pozwoliła* bowiem na poniesienie ciężarów stworzenia i następnie podtrzymania funkcjonującego państwa, reprezentowanego przez panującego i jego dwór, licznych wojów oraz tworzące się ogniwa władzy terenowej.

Wieś, "*sól polskiej ziemi*", nie miała szczęścia do historii. Licząc początkowo znacznie powyżej 90 procent ludności kraju, gdyż Miasto dopiero od XII wieku zaczęło się w nim liczyć, a u schyłku I Rzeczypospolitej nadal jeszcze ok. 75 procent, Wieś przeszła "*drogę krzyżową*" jak **żadna** inna polska grupa społeczna.

A przecież, tak jak rolnictwo dało początki Państwu Polskiemu, tak lud wiejski dał początek Narodowi Polskiemu.

I ludowi temu nie tylko *nikt* nie okazał wdzięczności za jego misję historyczną, ale przeciwnie - setkami lat poniżano go i wpędzano w nędzę. W miarę jak państwo dzieliło się na stany, najliczniejszy stan chłopski, lud ongiś wolny, popadał stopniowo w niewolę, jaką stało się **faktycznie** jego *poddaństwo* w przedrozbiorowej Polsce i jeszcze długo w porozbiorowej.

Jest to tym bardziej smutne, że rodzące się od XI wieku społeczeństwo stanowe, degradujące chłopą, znalazło swój ważki wyraz nawet w *statutach* Kazimierza Wielkiego, "króla chłopów", do którego to miana nie pretendowali już **nigdy** jego następcy.

Jeszcze smutniejsze było to, że XVI wiek, uważany powszechnie za "złoty wiek" Polski, albo Rzeczypospolitej, jak ją wtedy nazywano, ogólnie pomyslny dla rolnictwa, nie był jednak aż tak "złoty" dla chłopą. Wtedy właśnie, wyrosła już na potęgę szlachta, współdziałająca ściśle z możnowładztwem i duchowieństwem, kładła solidne podwaliny pod przyszły *upadek* rolnictwa poprzez **zniewolenie** chłopą. Faktyczne wyjęcie go spod prawa, jako że sądy królewskie przestały się już nim zajmować, poza wyjątkiem tzw. królewszczyzny, choć i tam chłop sprawiedliwości nie znajdował, pozostawiło chłopą, jak to ujmował akt Konfederacji Warszawskiej z 1573 r., na łasce i niełasce panów oraz duchowieństwa. Jak to wyglądało w praktyce niech świadczy wypowiedź z tych czasów tynieckiej dzierżawczyni:

- "...Iżem ja was, chłopci, u księdza opata kupiła, że mi wolno was męczyć, palić, ścinać i wieszać, nie tylko wam kazać robić..."

Nie mogło być zresztą inaczej skoro szlachta, uważając się za potomków biblijnego Jafeta, chłopów nie uważała za "braci w Chrystusie", jako potomków biblijnego Chama. Kościół z kolei, przymykał oczy na ten *nie-ludzki* stosunek szlachty i możnowładztwa do swoich chłopskich bliźnich oraz współwyznawców tej samej wiary. Ba, zarządcy dóbr kościelnych mieli do chłopów nie lepszy stosunek, wyzyskując ich nawet jeszcze bardziej od swoich świeckich pobratymców.

Wyzysk chłopą, w jego *pańszczyźnianej* formie, sprowadzający się do **przymusowej** pracy chłopów, korzeniami sięgający XIII wieku, zamiast zanikać, po tym jak pojawiła się renta pieniężna, *oczynszowanie*, nasilił się niepomierne, osiągając swój szczyt w XVII i XVIII wieku. Chłop, z własnym sprzężajem lub pieszko, nierzadko sam zaprzęgając się do pługą, był zobowiązany pracować *za darmo* po 5-6 dni w tygodniu "dla pana i plebana". On też, obok ludności miejskiej, był **jedynym** płatnikiem coraz to *wyższych* podatków.

I żeby na tym był koniec. *Glebae adscripti*, "przypisany do ziemi", chłop nie tylko nie mógł opuszczać miejsca swego zamieszkania bez zgody pana, ale nawet bez jego zgody zawierać związki małżeńskie!

A wszystko to działo się wtedy, kiedy szlachta i możnowładcy, w związku z pojawieniem się możliwości eksportu zboża do Europy Zachodniej, rozwijali *gospodarstwa folwarczne* w oparciu o pańszczyźnianą siłę roboczą. Zamiast więc być zainteresowanymi w układnych stosunkach z chłopami,

którzy słynęli z *większej* gospodarności niż folwarki, stosunki te nieustannie pogarszali, co w efekcie odbijało się negatywnie na rentowności pańskich folwarków. W połączeniu z brakiem talentu do zarządzania nimi, ich niedoinwestowaniem, gdyż pieniądze za sprzedane zboże obracano na zakup przedmiotów zbytku i hulaszczy tryb życia, folwarki zaczęły podupadać, a poprawy stanu rzeczy szukano w *zwiększonym* wyzysku chłopą.

Jak dalece bezmyślność takiego postępowania musiała być znana w ówczesnej Europie niech świadczy fakt, że Monteskiusz, francuski myśliciel i pisarz polityczny, w swoim dziele z 1748 r. "O duchu praw" tak oto pisał:

"*Nie ma Polska prawie nic z tego, co nazywamy ruchomościami świata, chyba jedynie własne zboże. Kilku magnatów posiada całe prowincje, cisną chłopą, aby mieć więcej zboża do wysłania za granicę i kupić za nie rzeczy, których wymaga ich zbytek. Gdyby Polska nie handlowała z żadnym narodem, jej mieszkańcy byłiby szczęśliwi. Magnaci, którzy mieliby tylko własne zboże, dawaliby je chłopom, aby mogli żyć; zbyt wielkie posiadłości byłyby im ciężarem, podzieliliby je między chłopów...*"

Oczywiście, Monteskiusz upraszcza sprawę, gdyż tak dobrze by nie było i magnat ani zboża ani ziemi chłopom nie dałby nawet w przypadku niemożności jego eksportowania, ale niewątpliwie *trafnie* opisał istniejący w Polsce stan rzeczy. Gdyby lepiej go znał, to może jeszcze wspomniałby o barbarzyńskim wręcz wyzysku i upodleniu chłopą, jakim było **przymuszanie** go do picia piwa i gorzałki z pańskich browarów i gorzelnii, skutek ponurej sławy *propinacji* zniesionej, aż wstyd bierze, dopiero przez zaborców.

Ten "*pański biznes*" odbił się niewątpliwie długofalowymi i wysoce **negatywnymi** skutkami wówczas oraz obecnie na Narodzie Polskim, o czym nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

Chłopski los, ogólnie zły i pogarszający się od XVI wieku, był oczywiście różny w zależności od miejsca, czasu, jak też poszczególnych kategorii chłopstwa. Chłop w tamtych czasach był pojęciem dość szerokim, pod którym rozumiano pełnorolnych *kmięci* (z gospodarstwem średnio 16-hektarowym), względnie jak na lud wiejski zamożnych, choć też poddanych panu, coraz bardziej przezeń wyzyskiwanych i rujnowanych, a wreszcie najliczniejszych półrolnych *zagrodników* oraz bezrolnych *komorników*, których nędza była legendarna.

I jeżeli polscy chłopci nie buntowali się na masową skalę (robili to na ograniczoną i lokalnie), to tylko dlatego, że dość często *zbiegali* na Dzikie Pola i do innych zakątków kraju, z miastem włącznie, gdzie warunki bytu mogły być znośniejsze.

Walka z chłopem, gdyż inaczej nie można nazwać *bezrozumnego* i *bez-*

dusznego do niego stosunku ze strony stanów posiadających, odbiła się w końcu **negatywnie** na produkcji rolnej. O ile w mieszkowej Polsce chłop zbierał przeciętnie z jednego zasianego ziarna zboża 2,5 ziaren, to w następnych 3-4 wiekach, w wyniku postępu technicznego w rolnictwie oraz wzrostu kultury rolnej - wydajność zasiewów wzrosła średnio ok. 2-krotnie. Potem jednakże, w miarę jak różne *powinności* świadczone przez chłopą na rzecz pana, Kościoła (zabierał 1/10 jego produkcji) oraz państwa zaczęły go rujnować, podczas gdy majątki pańskie były ogólnie mniej wydajne od gospodarstw chłopskich, produkcja rolna już praktycznie *nie wzrastała*, a miejscami i okresowo nawet *spadała* do poziomu niemal sprzed stuleci.

Wieś, zamiast stanowić coraz chłonniejszy rynek dla miasta, biedniała więc nieustannie, a w konsekwencji tego biedniało również miasto. Potem, rosnący w siłę potężni sąsiedzi Polski, dopatrzyli już wszystkiego, aby *nic* nie zmieniło się w niej na lepsze.

A tak naprawdę, to również i światli Polacy, jak ostatni król, posłowie na Sejm Czteroletni czy wreszcie Tadeusz Kościuszko, też nie wykazali koniecznej odwagi i dalekwzrocności, żeby los chłopski radykalnie zmienić na lepsze. Może było już na to za późno, ale i chęci większej też przecież w tym kierunku nie było. Konstytucja 3 Maja czy Uniwersał Połaniecki pańszczyzny nie znosiły, a jedynie ją łagodziły. Podobnie było z Księstwem Warszawskim, które chłopu, co prawda, przywróciło wolność osobistą, ale go nie uwłaszczyło.

Niestety, uczynili to dopiero zaborcy, a **nie** sami Polacy.

Skutki tego stanu rzeczy, są *odczuwalne* do dnia dzisiejszego. Zacołanie rolnictwa, archaiczna struktura wsi, a co za tym idzie państwa i gospodarki, nie mówiąc już o licznych wojnach i ich zniszczeniach, czy nieustannych przemarszach przez kraj obcych i własnych wojsk, łupiących chłopstwo - przyczyniły się w końcowym rachunku do *upadku* I Rzeczypospolitej.

Czy można było tego uniknąć?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Polska, która już w XVII wieku, jeszcze przed buntem Chmielnickiego, najazdem rosyjsko-kozackim, szwedzkim, wołoskim Rakczego i rokoszem Lubomirskiego, była uważana za *biedny* kraj - po tych wydarzeniach uległa *dalszej* pauperyzacji. Próby zmiany tej sytuacji, podjęte przez ostatniego króla, poprawiły nieco istniejącą sytuację, ale na generalną poprawę było, niestety, za późno. Potężni sąsiedzi, wkrótce zaborcy, nie byli w niej zainteresowani i nie dopuścili do koniecznych reform, pomijając już na ile mogły być one skuteczne.

Ale zanim do tego doszło, Polacy mieli przecież *setki lat* na to, żeby doprowadzić własny kraj do porządku!

Nie roztrząsając złożonych przyczyn dlaczego tego nie uczynili, gdyż rozwój sytuacji w feudalnej Polsce szedł akurat w *przeciwnym* kierunku niż w Europie Zachodniej, faktem jest, że owe kilkaset lat **zmarowano** i małą jest pociechą, że podobnie było w *całej* Europie Środkowej i Wschodniej, na Węgrzech, w Czechach oraz we wschodnich krajach niemieckich, jak w Brandenburgii, Saksonii oraz Meklemburgii, choć co prawda w stopniu *mniejszym* niż w Polsce.

Nic dziwnego więc, że w istniejącej sytuacji, Polska, w momencie utraty swojej niepodległości, nie miała nawet załączków nowej formacji społeczno-ekonomicznej, kapitalistycznej, a tylko miejscami było coś na wzór *protokapitalizmu*, co jednakże miało nierzadko krótki żywot, wskutek wojny polsko-rosyjskiej 1792 r. oraz Powstania Kościuszkowskiego, kiedy to najeźdźca niszczył manufaktury.

Zadanie zbudowania tych załączków, jak też umacnianie nowej formacji, przypadło już w udziale zaborcom.

Na wsi, Prusacy byli tymi, którzy najwcześniej spośród trzech zaborców, w 1811 r., zabrali się do likwidacji feudalizmu na ziemiach polskich, wydając edykt o uwłaszczeniu chłopów. Ale nie obyło się przy tej okazji bez okradzenia polskiego chłopą, któremu *zabierano* od 1/3 do 1/2 użytkowanej przez niego ziemi, a od 1816 r. obejmowało ono jedynie gospodarstwa posiadające własny sprzężaj, po wojnach napoleońskich zjawisko dalekie od powszechnego. Uwłaszczenie zresztą, zwane "*pruską reformą regulacyjną*", ciągnęło się latami, do 1860 r. (dopiero w 1850 r. zostali nim objęci chłopą małorolni). W 1823 r. uwłaszczenie objęło też Wielkie Księstwo Poznańskie pod zarządem pruskim.

Drugim zaborcą, który przystąpił do uwłaszczenia polskiego chłopą, była Austria, poczynając od 1848 r. i kończąc ten proces w ciągu 10-ciu lat. Uwłaszczenie było wolne od pruskich podstępów, ale ponieważ cały zabór austriacki był w bez porównania cięższym położeniu gospodarczym, a uwłaszczanych chłopów obciążano podatkiem odszkodowawczym na rzecz wywłaszczanych, więc jego efekty ekonomiczne były *dalekie* od oczekiwanych.

Trzecim wreszcie zaborcą, który ukazem carskim z marca 1864 r. przystąpił do uwłaszczenia polskiego chłopą, był zaborca rosyjski (w białostockim przeprowadzono go 3 lata wcześniej).

Czy do tego uwłaszczenia doszłoby w ogóle, gdyby nie zadekretowanie go przez Powstańczy Rząd Narodowy ponad rok wcześniej, nie jest pewne. Faktem jest jednak, że do uwłaszczenia doszło na zasadach zbliżonych do austriackiego.

W ten sposób więc, od strony formalnej przynajmniej, feudalizm na zie-

miach polskich przeszedł do historii, aczkolwiek silne jego przeżytki trwały jeszcze do wybuchu II wojny światowej, a na jego miejscu pojawił się kapitalizm.

Uwłaszczenie, skutki rewolucji przemysłowej, które nie ominęły rolnictwa, a wreszcie wojny krymska, prusko-duńska oraz prusko-francuska stworzyły dobrą, aczkolwiek podlegającą okresowo głębokim wahaniom, koniunkturę dla rolnictwa polskiego pod zaborami. Tym razem jednak, nie tak jak dawniej, kiedy to chłopska gospodarka indywidualna była wydajniejsza od folwarcznej, spauperyzowana wiekami *nie była* teraz w stanie, ze względu na brak kapitału, korzystać w pełni z dobrodziejstw postępu technicznego w rolnictwie. Zwłaszcza, że w zaborze pruskim państwo wyraźnie wspierało folwark, naogół nie w polskim posiadaniu. Inaczej było w zaborze rosyjskim i austriackim, ale i tam chłopci, teraz już uwłaszczeni, byli w gorszym położeniu od bardziej konkurencyjnych gospodarstw wielkich właścicieli ziemskich. A ponieważ wyścig między obu typami gospodarstwa toczył się głównie wokół *podniesienia* plonów z hektara, gdzie mechanizacja upraw i pojawiające się nawozy sztuczne miały decydujące znaczenie, więc dola chłopska, mimo niewątpliwiej poprawy, pozostała **nadal** ciężka (w zaborze rosyjskim, po tym jak Niemcy wprowadziły wysokie cło importowe na zboże, ciężka była również sytuacja wielkiej własności ziemskiej).

Mimo wszystko, produkcja rolna ziem polskich pod zaborami wzrastała szybko po uwłaszczeniu (choć nie tylko jemu należy przypisać zasługę). W okresie 1880-1910 wydajność plonów zboża z hektara w zaborze pruskim wzrosła 3-krotnie, rosyjskim 2-krotnie, podczas gdy austriackim 1,5-krotnie. Plony żyta z hektara, zboża na ziemiach podstawowego, w zaborze pruskim w 1900 r. zaczęły średnio przekraczać 12 kwintali, podczas gdy w rosyjskim i austriackim przekraczały 8 kwintali, z tendencją do dalszego wzrostu. Wzrosła też poważnie hodowla we wszystkich zaborach, rozwinął się przemysł rolno-spożywczy, stwarzając rynek zbytu dla wielu upraw, potaniał przewóz artykułów rolnych oraz wzrósł i zróżnicował się asortymentowo eksport żywności z ziem polskich. Paradoksalnie też, ze względu na napływ do Europy taniego zboża amerykańskiego, zapoczątkowany kryzys rolny bardziej dotknął wielką własność ziemską niż chłopską.

Niemniej jednak, gospodarka chłopska pod obcymi zaborami, aczkolwiek będąca w sytuacji bez porównania *lepszey* niż w ostatnich wiekach feudalnej I Rzeczypospolitej, teraz w warunkach kapitalizmu pozostała **nadal** słaba. Uwłaszczeniu nie towarzyszyła bowiem daleko zaawansowana reforma rolna i wolne gospodarstwa chłopskie były **za małe** dla sprostania walce konkurencyjnej na rynku, do którego miały one jak nigdy przedtem szeroki

dostęp. W największym z zaborów, rosyjskim, prawie 60 procent gospodarstw chłopskich było *poniżej* 5-hektarowych, podczas gdy w austriackim aż ponad 80 procent. Nawet w zaborze pruskim odsetek tych gospodarstw wahał się w granicach 2/3-3/4 w zależności od regionu.

Sprawa wreszcie najważniejsza, to *odpływ* wolnych rąk do pracy ze wsi do miasta, do nierolniczych gałęzi gospodarki, największy w zaborze niemieckim, a najmniejszy w austriackim. Odpływ, co prawda, nie rozwiązał problemu przeludnienia wsi, zwłaszcza w zaborze austriackim, ale poważnie go zneutralizował. Innym neutralizującym czynnikiem była masowa emigracja z ziem polskich, zwłaszcza z zaboru austriackiego, głównie do Ameryki Północnej.

I w takim oto stanie rolnictwo/wieś ziem polskich pod zaborami - dostało się w wir I wojny światowej, z której wyłoniła się wolna Polska, II Rzeczpospolita.

B. Wieś w II Rzeczypospolitej.

Nowe Państwo Polskie, powstałe w ponad 950 lat po mieszkowskim, znalazło się w położeniu relatywnie *gorszym* od tamtego. Kraj, co prawda, po ostatecznym ukształtowaniu się granic w 1921 r., liczył 27 mln. mieszkańców, ok. 27-krotnie więcej niż na przełomie I i II tysiąclecia, z obszarem odpowiednio o ponad 1/3 większym, ale nie to było najważniejsze. Inne kraje też przecież nie stały w miejscu i wzajemne relacje demograficzno-terytorialne *nie uległy* większym zmianom w ciągu tysiąclecia. W stosunku do sąsiada wschodniego nawet pogorszyły się znacznie, podczas gdy do zachodniego, nawet jeśli tak nie było, to z pewnością pogorszyły się w sensie ekonomicznym.

Przechodząc do spraw rolniczo-wiejskich, chłop, podobnie jak to było za Piastów, odzyskał swoją wolność osobistą, a co najważniejsze żył teraz we *własnym* państwie. Poza tym, już wszystko inne układało się dla niego *mniej* korzystnie niż 6-9 wieków wcześniej. Niemniej jednak, chłop cieszył się z odzyskania niepodległości narodowej, bronił ją bohatersko w chwilach potrzeby (wśród 135 tysięcy poległych w wojnie polsko-bolszewickiej chłopci stanowili ich największą część), ale w niczym nie zmieniło to faktu, że wyszedł *zrujnowany* z wojny, a młode państwo nie było mu w stanie pomóc. Pomijając już dotkliwe straty poniesione przez chłopów w wieku produkcyjnym w szeregach armii zaborczych oraz Wojska Polskiego, wieś wyszła z wojny ze spadkiem zbiorów pszenicy o 65 procent, żyta o 40 procent, ziemniaków prawie o 40 procent oraz inwentarza żywego o 37-38 procent. Co

piąte zabudowanie chłopskie spłonęło, a zaopatrzenie wsi w artykuły przemysłowe pierwszej potrzeby nie tylko spadło do 1/6 przedwojennego stanu, ale jeszcze szalejąca inflacja dusiła wiejską siłę nabywczą.

Państwo zaś, zamiast pomóc wsi, na co nie było go zresztą stać, do niej wyciągnęło rękę o pomoc. I wieś, w tym konkretnym przypadku z jej obszarniczą częścią, wyciągniętej ręki nie odtrąciła. Deficyt zboża, wynoszący w 1920 r. 1 mln. ton, szybko zlikwidowała, dając nawet niewielkie jego ilości na eksport.

Ale też, Wieś, tym razem już bez poparcia wielkich posiadaczy ziemskich, pomagając Państwu, nie zrezygnowała ze swoich żądań, domagając się przede wszystkim reformy rolnej. Ogromna większość chłopów była bowiem bądź bezrolna bądź małorolna. Reforma rolna w efekcie tych nacisków, trzykrotnie uchwalana, w 1919 r., 1920 r. i w 1925 r., w realizacji odkładana, obchodzona na różne sposoby, a wreszcie przeprowadzana za częściowym wykupem, w praktyce rzadko stosowanym, jako że ziemi pozbywano się po cenach rynkowych, w końcu wystartowała. Tylko w niewielkim stopniu zresztą, rozładowując nabrzmiały problem głodu ziemi. Chłopa bezrolnego i małorolnego z reguły nie było bowiem stać na wykup parcelowanej ziemi, a kredytu dostać nie mógł, który zresztą i tak był dla niego za drogi. W konsekwencji tego nie on był beneficjentem reformy.

Ponadto, z punktu widzenia czysto ekonomicznego, reforma rolna nie była prostą sprawą. Gospodarstwa duże i nowoczesne, dawały produkcję towarową, w tym na eksport (artykuły rolne stanowiły 40 procent eksportu, będąc główną jego pozycją). Parcelacja wielkich majątków ziemskich zatem, uzasadniona względami społeczno-politycznymi, miała ekonomiczne bariery. Z tych też i innych powodów, w okresie międzywojennym reforma rolna objęła tylko ok. 2,5 mln. hektarów, 1/5 obszarniczej ziemi. Wraz z przeprowadzoną komasacją gruntów oraz likwidacją serwitutów reforma poprawiła nieco sytuację wsi - powtarzając to jeszcze raz - ale nie za wiele. Chłopskie gospodarstwa, które w tym czasie powiększyły się o ok. 1 mln. nowych, osiągając ilość 3,5 mln., pozostały w sumie nadal karłowate. Wielkość przeciętna tych gospodarstw nie była nigdy dokładnie znana. Ogólnie szacowano ją na ok. 4,5-5 hektarów. W rzeczywistości jednak, było inaczej. Na ok. 26 mln. hektarów użytków rolnych, nie licząc pastwisk, aż 48 procent przypadało na 30 tys. gospodarstw powyżej 50 hektarów. Odejmując zatem te wielkie gospodarstwa, typowo chłopskie gospodarstwo było średnio tylko 3,7-hektarowe, a 2,2 mln. tych gospodarstw, 65 procent, posiadało gospodarstwa przeciętnie 1,2-hektarowe, rozdrabniające się w dodatku bez przerwy.

Ten stan rzeczy, biorąc pod uwagę fakt 65-procentowego udziału wsi w

ludności kraju, podczas gdy udział ten w Niemczech wynosił 25 procent, a w Anglii tylko 5 procent, był wysoce niekorzystny dla perspektyw rozwoju zarówno rolnictwa, jak i reszty kraju. Przeludnienie wsi, różnie obliczane, wynosiło pomiędzy 2-ma i 8-ma milionami osób (naogół przyjmuje się ok. 4 mln.), co przy jej niskiej wydajności pracy, stawiało polskie rolnictwo, poza wielkimi majątkami, na z góry przegranej pozycji w walce konkurencyjnej na rynku światowym, wobec Zachodu głównie, gdzie wydajność w produkcji rolnej była średnio 3-krotnie wyższa.

Nie mogło być zresztą inaczej. Zbiory 4-ch zbóż w Polsce ledwie przekraczały 11 kwintali z hektara, a ziemniaka, podstawy chłopskiego spożycia, 120 kwintali. Niskie zbiory były wynikiem spadku zastosowania nawozów sztucznych, które nawet w najlepszych latach było średnio niższe o ok. 40 procent w stosunku do 1913 r. O ile ogólna podaż zbóż nieco wzrosła mimo spadku wydajności z hektara, to było to możliwe jedynie dzięki zwiększonemu arealowi upraw.

Wieś, poza zachodnimi częściami kraju, żyła więc bardzo ubogo. Jeżeli miała jakieś nadwyżki na rynek wewnętrzny i eksport, to głównie z powodu niedojadania. Mięso, którego spożycie w kraju wynosiło przeciętnie 19 kg, zniknęło praktycznie z chłopskich stołów. Niska była też konsumpcja cukru (1 kilogram kosztował 1,4 zł., podczas gdy w Anglii polski cukier sprzedawano za 17 groszy odpowiednio), a nierzadko nawet chleba i ziemniaków.

Głód i niedożywienie były więc częstymi gośćmi polskiej wsi. W niektórych regionach kraju niedożywienie pracujących w polu chłopów sięgało tylko połowy wymaganej normy kalorycznej, a przy poborze rekruta ok. 40 procent młodych chłopów nie mogło sprostać lekarskim wymogom fizycznym.

Państwo tymczasem, z różnych względów, nie prowadziło aktywnej polityki rolnej. A kiedy zabrało się do niej, zmuszone pogłębiającym się kryzysem rolnym, to tylko połowicznie. Stworzone PZPZ, Państwowe Zakłady Przemysłowo-Zbożowe, prowadzące interwencyjny skup zbóż po cenach powyżej rynkowych, miały niewielki wpływ na typowo chłopskie gospodarstwo. Większą natomiast ulgą dla niego były próby oddłużania go przez państwo, ale skala osiągnięć na tym odcinku była skromna.

W rezultacie, wieś była pozostawiona sama sobie. Żywiła miasto jak mogła, gdyż inaczej kraj nie miałby środków na import żywności, stwarzając równocześnie rynek na produkcję przemysłową i finansując podatkami oraz niekorzystnym układem cen na swoje produkty rozwój gospodarczy kraju. Wieś zrobiłaby pod tym względem jeszcze więcej, gdyby nie wybuch Wielkiego Kryzysu na Zachodzie, za który zapłaciła więcej od innych działów

gospodarki narodowej.

Finansując innych, Wieś **nie miała** środków na finansowanie własnego rozwoju.

Tak na przykład, w latach 1927-1929 chłop za 100 kg żyta mógł kupić plug, ale w latach 1935-1937 już za 270 kg żyta. Para butów kosztowała go odpowiednio 99 kg i 205 kg, a 100 kg superfosfatu 31 kg i 81 kg żyta. Chłopa nie było więc stać na zakup wielu artykułów przemysłowych, węgla nie wyłączając, którego w kraju był nadmiar. Chwilowa poprawa tej złej sytuacji, tuż przed wybuchem wojny, w związku z nowym spadkiem cen światowych na artykuły rolne, zaczęła się znów pogarszać.

Pauperyzacja wsi polskiej, poza zachodnimi regionami kraju, była więc smutnym faktem w II Rzeczypospolitej. Tym bardziej smutnym, że chłopci (pamiętam to doskonale) ze wzruszeniem mówili o "dobrych czasach pod zaborami"...

Godnym podkreślenia jest jednakże fakt, że Wieś, żyjąca przecież gorzej od Miasta, w różnych zaburzeniach społecznych, nierzadko przecież krwawych, długo nie brała udziału.

Wielki Kryzys końca lat 1920-ch jednakże, rozpętany nie z polskiej winy, pogrążył gospodarkę kraju w olbrzymich trudnościach na całe lata, a rolnictwo w pierwszym rzędzie (spadek cen artykułów rolnych dochodził do 70 procent, przeciętnie 2-krotnie więcej od przemysłowych). On też zradycalizował nastroje na wsi. Pogarszająca się bowiem sytuacja gospodarcza wsi w połączeniu z żądaniami demokratyzacji kraju i powrotu Wincentego Witosa z przymusowej emigracji - zaktywizowały protesty chłopskie. W wyniku tego, latem 1936 r., doszło do burzliwych zamieszek, w których zginęły dziesiątki chłopów. Latem 1937 r. doszło znów do masowych strajków chłopskich, paraliżujących w wielu wypadkach funkcjonowanie państwa. Możliwe, że nie byłby to koniec, gdyby nie wzrost napięcia w stosunkach z Niemcami, neutralizujący nastroje.

Wieś w II Rzeczypospolitej zatem, aczkolwiek odcinkowo zrobiła postęp, zwłaszcza na odcinku oświaty i patriotycznych postaw, w końcowym rachunku nie tylko zyskała mniej od Miasta, ale ogólnie **cofnęła się** w swoim rozwoju. W sytuacji, gdzie poziom produkcji gospodarki krajowej pozostał *niezmieniony* w stosunku do 1913 r., z produkcją na 1 mieszkańca niższą, ze względu na przyrost naturalny, przy przeludnieniu Wsi większym niż Miasta, niczego innego **nie można** było oczekiwać.

Przemysł i inne gałęzie gospodarki były za słabe, żeby podciągnąć do przodu rolnictwo, a ono z kolei było za słabe, żeby na swoich barkach ponieść industrializację kraju.

W okresie istnienia II Rzeczypospolitej **nie udało się** przekształcić kraju z rolno-przemysłowego na przemysłowo-rolny. Wzajemne proporcje obu działów produkcji, ze względu na zawyżenie cen artykułów przemysłowych i zaniżenie rolnych, nie oddawały w pełni istniejącej sytuacji. Produkcja przemysłowa była niby wiodącą w gospodarce, wynosząc na progu II wojny światowej 40 procent dochodu narodowego, z rolną na drugim miejscu, z udziałem ok. 1/3, ale w rzeczywistości dominowała produkcja rolna, a **nie** przemysłowa. Co gorsza, o ile produkcja rolna nieco wzrosła w okresie międzywojennym (aczkolwiek wzrost ten przypadł tylko na lata 1920-te), to przemysłowa pozostała praktycznie na niezmienionym poziomie (na głowę 1 mieszkańca obie spadły, przemysłowa o 18 procent, mimo dość prężnego przemysłu zbrojeniowego, nieznanego na ziemiach polskich przed 1913 r.).

Na zakończenie przeglądu sytuacji rolnictwa w czasach II Rzeczypospolitej, należy spojrzeć jeszcze na jego rolę w handlu zagranicznym. Jak to już wspomniano powyżej, artykuły rolno-spożywcze stanowiły **podstawę** krajowego eksportu, wynosząc 40 procent jego udziału (faktycznie, eksport rolny zajmował 2 miejsce po paliwach, surowcach oraz tzw. materiałach do produkcji, które stanowiły 51 globalnego eksportu, ale ze względu na asortymentową niejednorodność tej pozycji, palma pierwszeństwa należy się artykułom rolno-spożywczym). Co ważniejsze, eksport ten był 2-krotnie **wyższy** od analogicznego importu.

Rolnictwo, innymi słowy, było więc **głównym** źródłem dopływu obcych dewiz dla kraju (w obrotach maszynami istniał duży deficyt, podczas gdy nadwyżki w obrotach paliwami, surowcami, materiałami do produkcji oraz tzw. konsumpcyjnymi towarami przemysłowymi, były niewielkie, równając się *połowie* nadwyżki w artykułach rolnych).

I w takiej oto sytuacji, Polska, licząca już ponad 35 mln. mieszkańców, z czego 2/3 stanowiła ludność wiejska, dostała się w ciągu 25 lat w wir następnej wojny.

C. Wieś polska w czasie II wojny światowej.

Ciężkie położenie polskiej Wsi w latach II Rzeczypospolitej - w czasie II wojny światowej stało się już położeniem autentycznie tragicznym.

Co wyprawiali na ziemiach polskich okupanci niemieccy i sowieccy, potem niemieccy, a na koniec częściowo znów sowieccy, nie mówiąc już o zniszczeniach w wyniku działań wojennych, w tym partyzanckich i odwetowych pacyfikacjach, wiadomo **aż nadto**.

Nie wchodząc w liczne szczegóły tych tragicznych czasów, należy nie

mniej jednak stwierdzić, że **chłop polski** był ich prawdziwym bohaterem. Nie dlatego, że przelał najwięcej krwi we Wrześniu i na wszystkich innych polach bitew, z wyjątkiem "wojny partyzanckiej", gdzie dominowało Powstanie Warszawskie, ale dlatego, że **wyżywił** w warunkach niewiarogodnie ciężkich siebie i swoich miejskich współbraci (z autorem niniejszej broszury łącznie). Gdyby nie chłop, to przydzielone Polakowi przez Niemców 900 kalorii dziennie, normy 2,5-krotnie *poniżej* niezbędnego minimum, skończyłyby się jego niechybną śmiercią z głodu i wycieńczenia. Chłop jednakże, sam gnębiony obowiązkowymi kontyngentami na rzecz okupanta, jak też innymi ograniczeniami w jego działalności produkcyjnej, znalazł możliwość **obejścia** drakońskich rygorów, ratując Naród Polski od niechybnej zagłady.

I wieczna Mu chwala za to!

Paradoksalnie, zacofana gospodarka chłopska, w warunkach najcięższej dla Polaków "dziejowej próby", okazała się zbawieniem, "polskim cudem" gospodarczym! Nawet tak pedantyczny i bezwzględny okupant jak niemiecki, nie mógł się zorientować w prawdziwym potencjale gospodarki chłopskiej ani przejrzeć pomysłowości jej właściciela. W innej sytuacji, przy mniejszej ilości gospodarstw i ich większej specjalizacji, lepszych drogach wiejskich, sieci elektrycznej i telefonicznej, dozór okupanta nad ich właścicielami byłby *bez porównania* łatwiejszy. Trudniej też byłoby podziąć się na wsi różnym wysiedleńcom i wszystkim innym, którzy stracili w mieście, a nierzadko także na wsi, dach nad głową i źródło utrzymania.

Chłop polski dzielił się z takimi czym tylko miał. Nie tylko ze swoimi miejskimi krewnymi, ale **z każdym** kto potrzebował pomocy.

W takiej skali **nikt** inny nie mógłby tego uczynić.

Za to co czynił, że był Polakiem, że **pierwszy** stanął do "wojny partyzanckiej" pod dowództwem "Hubala" (widziałem to na własne oczy) i za to, że przez jego Ojczyznę toczył się walec wojny - Wieś zapłaciła olbrzymią cenę, nie mającej sobie równej w polskiej historii. Niewątpliwie, nie tylko chłop był bohaterem narodowym, ale jego straty, wtedy **jedyne** żywiciela narodu, gdyż o żadnym imporcie żywności nie mogło być mowy w warunkach okupacyjnych, były tym bardziej bolesne.

Nie licząc strat w życiu i zdrowiu chłopskim, zniszczeniu uległa prawie 1/4 zagród wiejskich, 354 tys. zabudowań. Straty w inwentarzu żywym wyniosły prawie 2 mln. koni, 3,9 mln. bydła rogatego oraz prawie 5 mln. sztuk trzody chlewnej, co stanowiło odpowiednio 57, 67 i 83 procent przedwojennego stanu pogłowia. Brak sprzężaju, a często także rąk do pracy, gdyż tylko z 16-milionowej Generalnej Guberni ok. 2,5 mln. ludzi wywieziono na roboty do Niemiec, a do nich trzeba jeszcze dodać jeńców, więźniów, walczących

na frontach poza krajem czy wreszcie ukrywających się przed prześladowaniami i partyzantów, spowodowało masowe ugorowanie ziemi, ponad 40 procent uprawianego arealu.

Polska więc, kraj w czasie wojny **najbardziej** zniszczony, ze stratami materialnymi przekraczającymi poziom produkcji z 1938 r. aż 13-krotnie, stanęła w obliczu wyjątkowo złożonych wyzwań. Rolnictwu, najważniejszej gałęzi gospodarki II Rzeczypospolitej, przypadła teraz rola główna rola w gojeniu ran wojennych

2. Na ostrych wirażach.

Historia PRL, mimo że większość Polaków była jej naocznym świadkiem, ciągle jeszcze czeka na gruntowne i obiektywne opracowanie. Pierwsze próby w tym kierunku, nie pozbawione emocji i osobistego stosunku do wydarzeń z niedalekiej przeszłości, są niezwykle cenne, ale o wiele **niewystarczające** dla formułowania kategoriycznych sądów na temat 45-letniego okresu peerelowskiej rzeczywistości. Szczególnie jest to prawdą w odniesieniu do rolnictwa, które, jak **żaden** inny dział gospodarki narodowej, przechodziło przez różne zakręty dziejowe. Z tego też powodu dokonanie obiektywnego bilansu tego okresu jest bardzo trudne, jeśli w ogóle możliwe w chwili obecnej. Sytuacja rolnictwa po 1989 r. bowiem, po zniknięciu PRL, zmusza do spojrzenia na jej dokonania **inaczej** niż to kiedyś zaczęto czynić. Wszystko jest względne i na tle obecnej sytuacji w rolnictwie okres peerelowski, zwłaszcza pierwsze lata powojenne 1946-1948 oraz po 1956 r. - nie wypada najgorzej.

A. Okres 1944/1945 - 1949.

Okres ten należałoby podzielić na co najmniej 3 podokresy.

W pierwszym podokresie, ograniczając się tylko do wydarzeń związanych z rolnictwem, nowe władze, utworzonego w Moskwie PKWN, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, sprawujące początkowo rządy na obszarze pomiędzy Bugiem a Wisłą, zamieszkałym przez 6,5-milionową ludność, wydały 18 sierpnia 1944 r. dekret o **utrzymaniu** obowiązkowych dostaw artykułów rolnych, wprowadzonych za czasów okupacji niemieckiej. Dekret był **zaprzeczeniem** przyrzeczeń tzw. Manifestu Lipcowego PKWN. O ile w warunkach wojennych krok ten był zrozumiały, to jednakże dla zrujnowanego wojną i okupacją rolnictwa był on ogromnym ciężarem,

utrudniającym wychodzenie z kryzysowej sytuacji. Tym bardziej, że przymusowe dostawy, po cenach poniżej wolnorynkowych, obowiązywały niemal przez 2 lata, do czerwca 1946 r., czyli trwały jeszcze przez rok po zakończeniu wojny.

Innym ważnym wydarzeniem tego podokresu był dekret PKWN z 6 września 1944 r. o reformie rolnej. W stosunku do czasów II Rzeczypospolitej pekawuenowska reforma rolna była bardzo radykalna, przewidująca parcelację majątków ziemskich powyżej 50 ha (w zachodniej Polsce i na Ziemiach Odzyskanych powyżej 100 ha), a także gospodarstw "kolaborantów niemieckich" oraz osób "uchylających się" od służby wojskowej, co było *dowolnie* interpretowane.

Drugi podokres w rolnictwie, obejmujący lata 1945-1947, charakteryzował się jego "normalnieniem", po tym jak zniesiono dostawy obowiązkowe i zapewniono chłopów, że nie będzie kolektywizacji (cenzura tępiła wówczas jakiegokolwiek wzmianki na jej temat). Na Ziemiach Odzyskanych z kolei, okres ten charakteryzował się uruchamianiem produkcji rolnej oraz jej "polonizowaniem", po tym jak ludność niemiecka, która częściowo tam pozostała po wojnie, opuszczała je zgodnie z decyzjami poczdamskimi.

Trzeci podokres, obejmujący tzw. Plan Trzyletni 1947-1949, zawiera w sobie oddzielny podokres, jesień 1947 - lato 1948, który był *przełomowym* w dotychczasowej polityce rolnej władz. Zaczął się on w październiku 1947 r., kiedy to opuścił Polskę Stanisław Mikołajczyk (wcale nie nielegalnie, jak słyszałem to po latach), co pociągnęło za sobą ostateczną likwidację PSL, Polskiego Stronnictwa Ludowego, *niekomunistycznej* partii chłopskiej, która była jakąś przeciwwagą, w tym także w sprawach polityki rolnej, dla rządzącej PPR, Polskiej Partii Robotniczej.

Wydarzeniem o jeszcze większej wadze, było z kolei rozprawienie się na przełomie sierpnia-września 1948 r. z Władysławem Gomułą, przywódcą PPR, co w efekcie oznaczało **koniec** dotychczasowej polityki rolnej rodzącej się PRL (formalnie narodziła się dopiero w lipcu 1952 r.).

Niezależnie od tych wydarzeń, powojenne realia polskiego rolnictwa, spuścizna wojny i okupacji, były *oddzielnym* i skomplikowanym do rozwiązania problemem, niezależnie od charakteru rządów. Rolnictwu brakowało dosłownie wszystkiego, podobnie zresztą jak pozostałym działom gospodarki. Dotkliwe braki na każdym odcinku życia gospodarczego utrudniały niepomniernie podnoszenie się produkcji rolnej z upadku i to było zrozumiałe. Nie bez znaczenia był też fakt, że areał ziem uprawnych w nowych granicach był o 4,7 mln. ha mniejszy. Jeśli nie stało się to wielkim problemem, to tylko dlatego, że o 1/3 zmniejszyła się w wyniku wojny i zmiany granic ludność

Polski (w 1946 r. liczyła tylko 23,9 mln. mieszkańców).

Niemniej jednak, absolutyzowanie tych trudności **nie może** iść za daleko. Ogólna sytuacja polityczno-społeczna, najpierw w "lubelskiej Polsce", a potem w reszcie kraju, była również nie bez znaczenia.

Przed wszystkim, chodziło o *atmosferę* wokół rolnictwa, stwarzaną przez "władzę ludową". Już przy wymiarze i ściąganiu dostaw obowiązkowych zaczęła tworzyć się "sytuacja konfliktowa" na linii władza-chłop, potem ulegając zaostreniu w związku ze sposobem przeprowadzania reformy rolnej. Przychylny ogólnie dla niej stosunek był bowiem systematycznie podkopwany towarzyszącymi jej ekscesami. Doszło nawet do tego, że wielu chłopów rozparcelowanej ziemi nie chciało brać (w "lubelskiej Polsce" przejęto 320 tys., ale rozparcelowano tylko 212 tys. ha, którymi nadzielono nieco ponad 100 tys. gospodarstw, przeciętnie po 2 hektary na każde z nich). Należy też przypomnieć, że kierownikiem, jak wówczas nazywano ministrów, resortu rolnictwa i reform rolnych PKWN, był Andrzej Witos, brat Wincentego. Witos *sprzeciwiał się* represjom, towarzyszącym reformie, za co został odwołany ze swojego stanowiska i zastąpiony przez Edwarda Bertolda, mało znanego działacza ludowego, późniejszego antymikołajczykowskiemu rozłamowca w PSL. Nie on zresztą, prawdę mówiąc, przeprowadzał reformę w terenie, ale aktyw PPR i UB.

Reformę rolną władze, od końca 1944 r. nazywające się TRJN, Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej, a od końca czerwca 1945 r. RJN, Rząd Jedności Narodowej, kontynuowały na pozostałych terenach kraju w miarę przesuwania się frontu na zachód, a następnie już po ustaniu działań wojennych. Podobnie jak w "lubelskiej Polsce", ekscesy towarzyszące jej trwały nadal, idąc nierzadko na konto wicepremiera oraz ministra rolnictwa i reform rolnych w jednej osobie, przywódcy PSL, Stanisława Mikołajczyka!

W końcu 1946 r., reformę rolną uznano za "pomyślnie wykonaną", choć rzeczywistość była bardziej skomplikowana. Reforma tak naprawdę objęła tylko tzw. ziemie dawne w rodzącej się PRL, choć formalnie sięgnęła również Ziemi Odzyskanych.

Jaki faktycznie był jej efekt końcowy - nie jest zbyt jasne. Formalnie bowiem, zakończono ją w grudniu 1946 r., ale faktycznie trwała 3 lata dłużej, gdyż doliczono do niej także nadziały ziemi z tytułu osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych. Uwzględniając tą drugą datę, ziemię, o powierzchni 6,1 mln. ha, uzyskało 1 mln. rodzin, z których 814 tys. stało się nowymi gospodarstwami rolnymi, a prawie 255 tys. zostało powiększonych.

Uwzględniając zaś pierwszą datę, bliższą "reformowej" rzeczywistości, rozparcelowano 9,3 tys. majątków ziemskich, o powierzchni 3,1 mln. hekta-

rów, z czego 1 mln. hektarów stanowiły lasy, które przeszły na własność państwa, podobnie jak 0,9 mln ha ziemi uprawnej (część rozparcelowanej ziemi i lasów przeszła pod władanie PGWAR, Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, niezależnie od setek tysięcy hektarów na Ziemiach Odzyskanych).

Dla chłopów, 387 tys. rodzin, ziemi z reformy przypadło więc tylko 1,2 mln. hektarów.

Efekt reformy rolnej na przeciętną wielkość gospodarstwa chłopskiego był niewielki, podnosząc jego areał tylko do 5,8 ha, wobec 4,5-5 ha w 1938 r. (chyba, że wielkość przedwojennego chłopskiego gospodarstwa przyjęć za mniejszą, jak to wspomniano w innym miejscu).

Powracając do "konfliktowej sytuacji", to wiosną 1945 r., pogłębiła się ona w związku z podjętą przez władze akcją "rozbrajania terenu", gdzie przy okazji dochodziło do mordów chłopów, palenia ich zagród i innych gwałtów.

Tego rodzaju postępowanie władz **nie sprzyjało** tworzeniu się *pokojowej atmosfery*, czynnika niezbędnego dla wyteżonej odbudowy kraju, w tym zrujnowanego rolnictwa.

Na tą *atmosferę* olbrzymi wpływ wywierała także ogólna sytuacja w kraju. Działalność PSL, faktycznie jawnej opozycji od samego początku jego powstania w sierpniu 1945 r., jak też zbrojnego podziemia, regionalnie ukraińskiego i niemieckiego, tworzyła atmosferę niepewności i wyczekiwania. Obecność wojsk sowieckich na ziemiach polskich z kolei, choć zredukowana po zakończeniu wojny, była również czynnikiem kształtującym nastroje narodu (wojska te, wraz z dwoma dywizjami NKWD, aktywnie zwalczały ruch oporu).

Z drugiej strony, na kształtowanie się *atmosfery* przemożny wpływ wywierały także inne czynniki.

"Nowa Polska", zredukowana o 12 mln. obywateli oraz 76 tys. km. kwadratowych, jak za czasów piastowskich była etnicznie niemal jednorodna i znacznie mniej gęsto zaludniona. Obszar w nowych granicach, aczkolwiek poważnie zniszczony i rozkradzony, ze względu na Ziemię Odzyskaną miał o *połowę* wyższe niż przed wojną moce produkcyjne.

Z tych też powodów, jak również w wyniku zdania sobie przez władze sprawy, że *odbudowa kraju* jest ich kapitałem politycznym, który można wykorzystać - uruchomione wysiłki narodu na rzecz wzrostu produkcji zaczęły bardzo szybko być odczuwalne.

Co się tyczy produkcji rolnej, to w 1946 r., pierwszym "pokojowym" roku, częściowo wskutek złych urodzajów, poziom jej był o *ponad połowę* niższy niż przed wojną. Zmniejszona jednak ilość ludności kraju oraz czę-

ściowa pomoc zagraniczna, głównie amerykańska, zapobiegły masowemu głodowi.

Energiczna odbudowa produkcji rolnej, choć nie wolna od różnych przeszkód i wypaczeń, szybko dała wyniki. Poziom przedwojenny w produkcji rolnej bowiem, osiągnięto już niemal w 1950 r. (brakowało do niego tylko 2 procent, ale na głowę 1 mieszkańca wzrost był prawie 40-procentowy). Najprawdopodobniej, poziom ten byłby jeszcze wyższy, ale po 1948 r. walka z "wiejskim kapitalizmem" była już w toku, co odbijało się **negatywnie** na rozwoju produkcji rolnej.

Przyrost produkcji rolnej w latach 1946-1950 nastąpił głównie w produkcji zwierzęcej, przekraczając nawet poziom przedwojenny o 7 procent, podczas gdy roślinnej był nadal o 6 procent niższy.

Początkowo jednak, spożycie podstawowych artykułów żywnościowych, w związku z ich niedoborem, było objęte reglamentacją ("kartki"), podlegającą stopniowemu rozluźnianiu aż do jej zniesienia na początku 1949 r. (na krótko zresztą, gdyż w 1951 r. została przywrócona).

Biorąc pod uwagę wysoce niekorzystny punkt startu, produkcja rolna dokonała autentycznego **skoku** w ciągu pierwszych 4-ch lat powojennych. Sukces ten należy w znacznej mierze przypisać także sieci prywatnego i spółdzielczego handlu oraz drobnej wytwórczości i rzemiosłu, które *zaktywizowały* potencjał produkcyjny wsi drogą wzajemnie korzystnej wymiany. Byłby on zapewne jeszcze większy, gdyby nie próby duszenia tych działów gospodarki (już w 1947 r. rozpoczęto słynną "bitwę o handel", rujnując wielu prywatnych właścicieli sklepów, drobnych wytwórców i rzemieślników).

Na oddzielną uwagę zasługuje wreszcie rola rolnictwa w handlu zagranicznym tego okresu.

Eksport rolny, mający tradycyjne rynki zbytu jeszcze sprzed wojny, jak bekony na rynku angielskim czy szynki puszkowane na amerykańskim, w miarę odbudowy rolnictwa zaczął się szybko zwiększać, podnosząc swój udział z 2 procent w globalnym eksporcie w 1946 r. do 20 procent w 1949 r. Udział importu rolnego natomiast spadł w tym okresie z 35 procent do 10,3 procent. W obrotach artykułami rolnymi powstała więc, podobnie jak przed wojną, aż **2-krotna** nadwyżka eksportu nad importem, o tyle cenna, że wolnodewizowa.

B. Okres 1950-1955.

Z formalnego punktu widzenia okres ten, okres Planu 6-letniego 1950-1955, jest poprawny dla różnych analiz typu statystycznego, ale dla pozosta-

łych, polityczno-społecznych, a nawet ekonomicznych, powinien on obejmować nieco inne lata, rozpoczynające się od zastąpienia 4 września 1948 r. Władysława Gomułki na stanowisku przywódcy PPR przez Bolesława Bierutę, "bezpartyjnego" prezydenta RP, jak oficjalnie nazywała się powstająca PRL. Powinny się zaś zakończyć 21 października 1956 r., kiedy Gomułka powrócił do władzy.

Mając to na uwadze, pozostajmy jednak przy okresie podanym w tytule podrozdziału.

Otóż Gomułka, cokolwiek o nim nie powiedzieć, w sprawach rolnych kierował się zdrowym rozsądkiem. Zwolennikiem kolektywizacji rolnictwa, przynajmniej w pierwszych latach powojennych, nie był, tak jak nie był żadnym "wolnorynkowcem".

Po jego odejściu jednak, wszystko się zmieniło. Nowy kierunek polityki władz, niewątpliwie "natchniony" przez Stalina, został sformułowany na tzw. zjeździe zjednoczeniowym PPR i PPS w grudniu 1948 r. Nowoutworzona PZPR, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, ogłosiła się natychmiast, nie tak jak czyniła to dotąd PPR, "leninowską partią nowego typu", co wówczas oznaczało *stalinowską* ze wszystkimi płynącymi stąd konsekwencjami, w tym także dla rolnictwa. Nowy kierunek polityki rolnej partii, "dopinany" na kolejnych plenach KC, otwarcie postawił na *socjalizację* rolnictwa, czyli kolektywizację, zwaną "uspółdzielczeniem", a także na jego upaństwowienie, zwane "pegeeryzacją". Cel miał być osiągnięty przy pomocy różnorodnych poczynań. Od strony instytucjonalnej, działalnością Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, Państwowych Gospodarstw Rolnych oraz Państwowych Ośrodków Maszynowych, kopii sowieckich instytucji kołchozów, sowchozów i MTS.

Rolnictwo zostało ujęte, podobnie jak reszta gospodarki, w system centralnego planowania, czego wyrazem był tzw. Plan 6-letni, obejmujący okres 1950-1955, z dyrektywnymi i obowiązkowymi w wykonaniu zadaniami produkcyjnymi. Na równi z innymi gałęziami gospodarki, rolnictwo, formalnie niby prywatny sektor, zostało poddane wszystkim rygorom centralnego zarządzania. Niezależnie od organów administracyjnych i partyjnych, ogromną rolę odegrała w tym nowoutworzona instytucja - Centrala Spółdzielni Rolniczej "Samopomoc Chłopska".

Najważniejsze, że ceny artykułów rolnych, choć utrzymano targowiska, na których kształtowały się formalnie swobodnie, zostały poddane centralnej kontroli, tworząc ich *niekorzystny* stosunek do cen artykułów przemysłowych. Wszelką inną działalność gospodarki chłopskiej, nie tylko od strony więzi wymiennej Wieś-Miasto, poddano również drobiazgowej kontroli.

Niezależnie od "socjalizacji" rolnictwa, wszystkie te kroki służyły jednemu celowi - uczynienia z niego źródła **finansowania** rozwoju przemysłu, zwłaszcza ciężkiego i maszynowego, a szczególnie zbrojeniowego, któremu nadano *priorytetu* w gospodarce.

W wyniku tych poczynań, od 1951 r., częściowo także ze względu na relację cen, przemysł zdobył *decydującą* pozycję w gospodarce, osiągając 40 procent udziału w tworzeniu dochodu narodowego, wobec 37 procent dla rolnictwa.

W kraju rozpoczęto też, niby "oddolną", kampanię na rzecz kolektywizacji, zaganiając często chłopów terrorem do spółdzielni produkcyjnych. Akcję partyjno-ubecką powstrzymała chwilowo *sprawa gryficka* z maja 1951 r. (niejasne jest jej prawdziwe tło), gdzie niektórych nadgorliwców ukarano. Na jakiś okres epizod ten *zahamował* "spontaniczny" pęd do kolektywizacji rolnictwa, aczkolwiek ten "normalny" trwał nadal.

Chłopi, pomijając już ogólnie nieprzyjazną wobec nich politykę władz, masowo poddawani byli też represjom z byle powodu, zapełniając areszty i więzienia.

Niezależnie od tego wszystkiego, były również "twarde realia" gospodarcze.

Od strony tylko czysto produkcyjnej bowiem, w 1950 r. punkt wyjściowy rolnictwa był w najważniejszych działach następujący:

- areał uprawny wynosił 20,8 mln. hektarów (25,5 mln. ha w 1938 r.);
- zbiory 4 zbóż wynosiły 10,6 mln. ton (12,5 mln. ton w latach 1934-1938);
- wydajność 4 zbóż z 1 hektara wynosiła 12 kwintali (11,4 kw/ha w 1934-1938);
- bydła rogatego było 7,2 mln. sztuk, w tym krów prawie 4,9 mln. (w latach 1934-1938 odpowiednio 10,6 mln. i 7,2 mln.);
- trzody chlewnej 9,4 mln. sztuk (7,5 mln. w 1938 r.);
- koni 2,8 mln. (wobec 3,9 mln. w 1938 r.);
- średnioroczny udój mleka krowy wynosił 1600 litrów (wobec 1382 litrów w 1938 r.);
- zużycie nawozów NPK (azotowo-fosforowo-potasowych) na 1 hektar wynosiło 17,7 kg (wobec 7,1 kg w 1938 r.).

Ten względnie niezły start produkcji rolnej jak na warunki powojenne, został następnie skomplikowany. W rezultacie forsownej industrializacji kraju, z priorytetem tzw. produkcji obronnej, podaż rynkowych artykułów prze-

myślowych dla wsi był wysoce niedostateczny, a nawet zaczął spadać, mimo ogólnie szybkiego wzrostu produkcji przemysłowej, co nie stymulowało, rzecz jasna, wzrostu produkcji rolnej. Osobnym rozdziałem była polityka podatkowa wobec wsi, zdecydowanie "dusząca" indywidualne gospodarstwa rolne. Na domiar złego wreszcie, wprowadzono znów, jak to już wspomniano powyżej, dostawy obowiązkowe podstawowych produktów rolnych, a także podjęto szereg innych działań, jak kontraktację dostaw produktów rolnych do państwowej sieci skupu, poddając w ten sposób chłopską gospodarkę rygorom centralnego planowania i zarządzania.

Nade wszystko zaś - powtarzając to jeszcze raz - forsowano kolektywizację i pegeeryzację rolnictwa. W 1955 r. w ok. 10-ciu tysiącach tzw. spółdzielni produkcyjnych, o różnym zaawansowaniu ich "socjalizacji" w zależności od poszczególnych typów statutowych, znalazło się ponad 9,2 procent użytków rolnych (1,9 mln. ha), a wraz z PGR ok. 23 procent powierzchni uprawnej kraju.

"Socjalizacja" rolnictwa, walka z wyimaginowanym "kułakiem", jak też szereg innych okoliczności natury politycznej, społecznej i gospodarczej, dały w końcu **fatalne** skutki.

W Planie 6-letnim, w zrewidowanej jego wersji, produkcja rolna miała wzrosnąć o 50 procent, ale o ile wzrosła naprawdę - nie bardzo wiadomo. Najpierw podawano, że wzrosła o 19 procent, potem przyrost ten zrewidowano do 13 procent, a według nieoficjalnych danych przyrost ten wyniósł tylko 6-7 procent.

Niemal stagnacja produkcji rolnej spowodowała, że planowany na 55-60 procent wzrost stopy życiowej w tym okresie uległ załamaniu się (po latach stwierdzono, pomimo że początkowo wzrost stopy życiowej podawano na 40 procent, a potem 26-27 procent, że nie było go niemal zupełnie).

Sytuacja w rolnictwie, indywidualnym w szczególności, była wynikiem wielu czynników. Inwestycje w rolnictwie miały wzrosnąć w Planie 6-letnim tylko o 12 procent (wobec 48 procent w przemyśle). Ale i to nie było prawdą, a jeśli już, to były one kierowane do "sektora socjalistycznego" w rolnictwie. Chłop indywidualny zaś, mając perspektywę kolektywizacji, naogół nie inwestował, a w wielu przypadkach gospodarka jego podlegała dekapitalizacji.

Jako ciekawostkę można tylko dodać, że przyrost produkcji 4 zbóż był, mimo wszystko, praktycznie *tylko* w indywidualnym gospodarstwie chłopskim, podczas gdy w "współdzielczonym" nie było go niemal w ogóle, a w PGR był minimalny, choć do tych dwóch typów gospodarstw pchano nawozy sztuczne, maszyny i doprowadzano elektryczność. Jedynie produkcja zwierzęca, dzięki zaopatrywaniu "socjalistycznego sektora" przez państwo w pa-

sze treściwe, miała większe tempo przyrostu niż w gospodarstwach indywidualnych.

W rezultacie tych ogólnie **negatywnych** tendencji w rozwoju produkcji rolnej w latach 1950-1955, punkt wyjściowy do następnego okresu, lat 1956-1988, pozbawionego ideologiczno-politycznych przegięć, aczkolwiek nadal *anormalnego* dla jej specyfiki, był już po raz drugi **niekorzystny** w ciągu pierwszego 10-lecia powojennego. O ile jednak za pierwszym razem główną winę za istniejący stan rzeczy ponosiła wojna, to tym razem *cała* wina spadła na błędną politykę rolną państwa.

W 1955 r. sytuacja w rolnictwie była zatem następująca:

- zbiory 4 zbóż wyniosły 12,7 mln. ton, przekraczając nieznacznie poziom przedwojenny i z 1950 r. Wydajność z 1 hektara wyniosła 14,3 kwintale, przekraczając poziom zarówno przedwojenny, jak również z 1950 r.;

- zbiory ziemniaków wyniosły 27 mln. ton, wobec 35 mln. ton przed wojną oraz prawie 31 mln. ton w 1950 r. (był to wynik ich nieurodzaju głównie, gdyż już w 1956 r. zbiory te przekroczyły 38 mln. ton). Zbiory ziemniaków z 1 ha wyniosły 100 kwintali, wobec 121 kw. przed wojną i w 1950 r. (w 1956 r. zbiory te wzrosły do 140 kw.);

- buraków cukrowych zebrano 7,3 mln. ton, wobec 2,8 mln. ton przed wojną i 5,5 mln. ton w 1955 r. Zbiory z 1 hektara wyniosły 186 kw., wobec 216 kw. przed wojną oraz 200 kw. w 1950 r.;

- pogłowie rogaczyny osiągnęło 7,9 mln. sztuk, w tym krów 5,5 mln., co było niewielkim wzrostem w stosunku do 1950 r., ale ciągle poniżej stanu przedwojennego (p. wyżej);

- produkcja mleka osiągnęła 9,6 mld. litrów, wobec 7,8 mld. l w 1950 r. oraz 10 mld. l przed wojną; udój na 1 krowę zaś, wzrósł do 1730 l, przekraczając poziom z 1950 r. i przedwojenny (p. wyżej);

- pogłowie trzody chlewnej wyniosło 10,9 mln. sztuk, co było dość znacznym wzrostem w stosunku do 1950 r., a szczególnie okresu przedwojennego (p. wyżej);

- pogłowie koni wyniosło nieco ponad 2,5 mln., a więc nastąpił tu znaczny spadek, zarówno wobec 1950 r. i jeszcze bardziej okresu przedwojennego (p. wyżej);

- zużycie nawozów sztucznych na 1 hektar wyniosło 26,7 kg, przekraczając zarówno poziom 1950 r., jak też przedwojenny (p. wyżej).

- handel zagraniczny w artykułach rolno-spożywczych z kolei, zanotował w eksporcie tylko niewielki wzrost wywozu w cyfrach bezwzględnych, przy spadku ich udziału z 20 do 15 procent w globalnym eksporcie. Jednocześnie o 90 procent wzrósł import artykułów rolno-spożywczych, głównie

zboża, w wyniku czego udział ich w globalnym imporcie wzrósł z 10 do 13 procent, redukując nadwyżkę eksportową w tym dziale z ponad 2-krotnej do 16-procentowej.

Niezależnie od tego, poziom elektryfikacji wsi doszedł do 1/3 w gospodarstwach indywidualnych oraz do 2/3 w spółdzielniach produkcyjnych i tyleż w PGR. Ilość traktorów z kolei wzrosła z ponad 28 tys. w 1950 r. do ponad 48 tys. w 1955 r. (ani jeden nie był w indywidualnym posiadaniu).

Pozytywnym zaś zjawiskiem w tym czasie był fakt pojawienia się dla ludności wiejskiej perspektyw zatrudnienia *poza* rolnictwem (odpływ ludzi ze wsi do miasta wahał się w tym okresie w granicach 380 tys. średnio rocznie), jak też ułatwiony dostęp młodzieży wiejskiej do oświaty i nauki wszystkich szczebli.

Okres 1950-1955, w świetle powyższych faktów, prowadzi do co najmniej *mieszanych* refleksji, ze swoimi niewątpliwie jasnymi stronami, ale z **przewagą** ciemnych.

Ogólnie, co jest prawdą, jest to, że każdej industrializacji kraju, wszystko przebiegało niby normalnie.

Udział rolnictwa w tworzeniu dochodu narodowego spadał, z 40 procent w 1950 r. do 28 procent w 1955 r., podczas gdy przemysł wzrastał, z 37 do 44 procent.

Z drugiej strony jednakże, za tym malejącym udziałem rolnictwa, kryło się wiele anomalii, a **nie** normalnych trendów rozwojowych w sytuacji industrializacji gospodarki narodowej. Rolnictwo było bowiem wyraźnie *odmien- nie* traktowane od pozostałych gałęzi gospodarki, po macoszemu, zwłaszcza w latach 1949-1953, co odbiło się **negatywnie** na jego rozwoju w latach późniejszych.

3. Powirażowe błędzenie.

A. Rolnictwo/Wieś za Władysława Gomułki II.

Zmiany w polityce rolnej PZPR zaznaczyły się już w 1954 r., po tym jak umacniający się w ZSRR po śmierci Stalina nowy szef KPZR, Nikita Chruszczow, dał dla rolnictwa, dotąd lekceważonego w bloku sowieckim, zielone światło.

Zasadniczy przełom w PRL na odcinku rolnym datuje się jednak nie od 1954 r., ale dopiero od powrotu do władzy Władysława Gomułki 21 października 1956 r. (stąd określenie "Gomułka II"). Przełom nie ujawnił się

natychmiast, ale nie było już wątpliwości, że dotychczasowa partyjno-rządowa polityka rolna dobiegła końca, bez pewności czym będzie nowa.

Zanim nowa polityka rolna została sformułowana, znikła niemal bezszereślnie perspektywa przymusowej kolektywizacji wsi polskiej. Spółdzielnie produkcyjne, przewidując kierunek nowej polityki rolnej jeszcze przed powrotem Gomułki do władzy, samorozwiązywały się, z wyjątkiem 1934-ch, które przetrwały, podczas gdy nowe chwilowo nie powstawały.

W konsekwencji tego, udział indywidualnych gospodarstw chłopskich w użytkach rolnych wzrósł niemal natychmiast z 77 do 85 procent (udział zaś ich w globalnej produkcji rolnej wzrósł z 82 do 89 procent).

Zmiana polityki rolnej, pomijając już zmiany w kierownictwie partii, "odwilż" w ZSRR oraz poprawę w sytuacji międzynarodowej, wynikała także stąd, aczkolwiek do tego **nie przyznawano się** publicznie, że zdawano sobie sprawę z tego, iż znaczący przyrost produkcji w rolnictwie, niezależnie od wszystkich innych czynników, wymaga nade wszystko *ogromnych* nakładów inwestycyjnych. Na takie nakłady **nie było** zaś środków. Wobec tego inwestowanie w rolnictwo pozostawiono *głównie* samym chłopom, czuwając jedynie nad tym, żeby wieś nie uległa rozwarstwieniu się i żeby zachodzące w jej obrębie procesy **pozostały** pod partyjno-państwową kontrolą, uniemożliwiająca podważenie "gospodarki socjalistycznej" na wsi.

Nowej polityce rolnej sprzyjało też odprężenie w tzw. stosunkach Wschód-Zachód, a szczególnie pomiędzy PRL a Zachodem, co pozwoliło jej na korzystanie z amerykańskich dostaw nadwyżek rolnych, głównie zbóż, na warunkach koncesyjnych, co znacznie rozładowało narosłe napięcia na rynku żywnościowym. Innym ułatwieniem było umorzenie długu PRL wobec ZSRR, w wyniku rozliczenia dostarczanego mu do 1953 r. "węgla reparacyjnego", a także uzyskanie od niego kredytu na zakup 1,4 mln. ton zboża.

Konkretne zaś zmiany w polityce rolnej zaczęły się 1 stycznia 1957 r. zniesieniem obowiązkowych dostaw mleka oraz obniżeniem wymiaru dostaw zbóż, ziemniaków i żywca, co poprawiło natychmiast sytuację finansową chłopów (zmniejszanie dostaw obowiązkowych zaczęło się zresztą już w 1954 r. i trwało do 1959 r. Ostateczne ich zniesienie nastąpiło dopiero w 1972 r.).

Nowa polityka rolna za 14-letnich rządów Gomułki, albo raczej za okres trzech 5-letnich planów, obejmujących lata 1956-1970, spowodowała przyrost produkcji rolnej w wysokości ok. 70 procent (średnioroczne tempo przyrostu wynosiło ok. 3,6 procent). W niektórych latach, ze względu głównie na warunki pogodowe, tempo przyrostu bądź przekraczało 10 procent, jak w 1961 r. bądź notowało 9-procentowy spadek, jak w rok później. Tempo przyrostu było niemal identyczne w produkcji roślinnej jak i zwierzęcej, oznacza-

jąc **nie uzależnianie się** nadmierne od importu zbóż, zwłaszcza paszowych, co stało się dopiero w "erze Gierka".

W okresie tym w rolnictwie oraz na wsi w ogóle, zaszły *strukturalne* przemiany.

Poczynając od 1967 r., ludność wiejska **ustąpiła** liczebnie ludności miejskiej.

Jeszcze bardziej widoczną zmianą były przesunięcia w strukturze zawodowej ludności. O ile w 1950 r. z rolnictwa utrzymywało się 48 procent ludności, to w 1970 r. udział ten spadł do 30 procent (aktywna w produkcji rolnej ludność wynosiła 5,2 mln.).

Wzrosła mechanizacja upraw, z ilością 225 tys. traktorów na polach, nadal szybko powiększającą się. Wzrosło też znacznie zużycie NPK, do 125 kg na 1 ha upraw, podnosząc zbiory 4 zbóż do 19,5 kw. z hektara (23,5 kw. w 1971 r.).

Ilość bydła rogatego osiągnęła w 1970 r. 10,8 mln. sztuk, w tym 6 mln krów, w pierwszym przypadku nieznacznie przekraczając poziom przedwojenny, podczas gdy w drugim, zbliżając się do niego (w 1970 r. PRL miała 32,5 mln. mieszkańców, o ok. 3,5 mln. mniej niż w 1938 r., a więc na głowę 1 mieszkańca poziom przedwojenny przekroczone). Ilość trzody chlewnej natomiast, wyniosła prawie 13,5 mln. sztuk (wobec 7,5 mln. przed wojną). Pogłowie koni nieznacznie spadło do 2,5 mln., podczas gdy udój mleka od krowy wzrósł do 2.400 litrów.

Na dużą skalę rozwinęło się warzywnictwo i sadownictwo, a podmiejscy "badylarze" stali się zamożną warstwą chłopską.

W 1970 r. było 3,1 mln. indywidualnych gospodarstw chłopskich, o przeciętnej wielkości 5,6 ha, ilość spółdzielni produkcyjnych zaś spadła do 1096 (rozporządzały arealem tylko 280 tys. ha., podczas gdy PGR ok. 3,6 mln. ha).

W omawianym okresie, licząc w cenach stałych, inwestycje w rolnictwie podwoiły się, wzrosło znacznie budownictwo mieszkalne i gospodarskie, elektryfikacja gospodarstw indywidualnych osiągnęła 90 procent, podczas gdy PGR i spółdzielni produkcyjnych niemal 100 procent.

W handlu zagranicznym udział artykułów rolno-spożywczych w eksporcie nieco się obniżył, wynosząc w 1970 r. 13,2 proc, podobnie jak obniżył się w imporcie, do 16,4 proc. Nadwyżka eksportu nad importem wzrosła w rezultacie tego do 35 procent.

W rolnictwie, Gomułce nie szło więc najlepiej (lepiej szło mu w przemyśle, ale też nie za dobrze). Planowany przyrost produkcji rolnej w latach 1956-1960 w wysokości 24 procent wyniósł tylko nieco ponad 20 procent. W planie 1961-1965 wzrosła tylko o 15 procent, zamiast zakładanych 22 procent.

Jeszcze gorzej było z wykonaniem planu 1966-1970. W miejsce planowanego 17-procentowego przyrostu, wyniósł on jedynie 9,5 procent (poziom produkcji rolnej w 1970 r. był na poziomie 1967 r., aczkolwiek w dużej mierze było to wynikiem 5-procentowego jej spadku w 1969 r. ze względów pogodowych). Dochody chłopów indywidualnych spadły w latach 1966-1970 o 4 procent, a podaż żywności na rynek prawie nie wzrastała.

Co gorsza, nie chwając się tym publicznie, od początku lat 1960-ch podjęto znów próby *socjalizacji* rolnictwa, tylko że "kuchennymi drzwiami". Skutek tego był zaś taki, że pieniądze z budżetu przeznaczone dla rolnictwa pchano przede wszystkim do PGR i resztek spółdzielni produkcyjnych. Chodziło bowiem o to, żeby udowodnić indywidualnemu chłopu wyższość "sektora socjalistycznego" nad prywatnym. I dzięki pomocy państwa "sektor socjalistyczny" miał istotnie nieco wyższą wydajność przeciętną niż prywatny, ale osiąganą wyższym kosztem.

Inną próbą "socjalizacji" wsi były istniejące od 1956 r. Kółka Rolnicze, które z czasem objęły 90 procent wsi, z niektórymi gospodarującymi zespołowo. Inną nowością, związaną z KR, było utworzenie w 1959 r. FRR, Funduszu Rozwoju Rolnictwa, na którego koncie gromadzono sumy, będące różnicą pomiędzy obowiązkową ceną skupu a wolnorynkową. FRR był przeznaczony na zakup maszyn rolniczych i traktorów, które miały stanowić *wspólną własność* Kółek, w ramach tworzonych "międzykółkowych baz maszynowych". Zarówno KR jak i FRR miały za zadanie "przyzwyczajanie" chłopów indywidualnego do *zespołowego gospodarowania*, metodę mu nieobcą zresztą, tyle że tym razem była ona zaprawiona sosem ideologiczno-politycznym (obie te instytucje przetrwały w różnym stopniu do końca istnienia PRL).

Na oddzielną uwagę zasługuje natomiast inne posunięcie Gomułki, które w 1968 r. przyjęło postać ustawy. Chodzi mianowicie o wprowadzeniu rent i innych świadczeń na rzecz rolników indywidualnych wzamian za przekazywanie gruntów państwu. Wówczas nie ukrywano, że celem tego była *socjalizacja* rolnictwa (ustawę rozbudowano następnie za Gierka, w 1971 r. i 1974 r., a jeszcze **bardziej** za rządów "Solidarności" w 1990 r., wprowadzeniem KRUS, Kasy Rolniczych Ubezpieczeń Społecznych).

W sumie jednak, za drugich rządów Gomułki, podobnie jak za pierwszych, rolnictwo "stało na nogi" i najprawdopodobniej mogło stanąć o wiele solidniej, niż to było w rzeczywistości, ale na przeszkodzie temu stały względy ideologiczno-polityczne i ogólnogospodarcze. W stounku do szybko rosnących potrzeb zresztą, niewątpliwa poprawa w rolnictwie ciągle była niewystarczająca, zwłaszcza na odcinku dostaw mięsa na rynek, mimo że w 1970 r. jego konsumpcja na głowę 1 mieszkańca, licząc z tłuszczami zwie-

rzęciami, przekroczyła już nieco 60 kg., będąc ponad 3-krotnie wyższą niż przed wojną.

Jak okazało się w grudniu 1970 r. - i to było za mało. Próba zmniejszenia popytu na mięso drogą podwyżek jego cen o 18 procent (ceny innych 47 pozycji miano podnieść o 10-17 procent), skończyła się krwawymi wypadkami na Wybrzeżu i upadkiem Gomułki (prawdziwe tło tych wydarzeń nie jest jednak jasne do dnia dzisiejszego).

Jednoznaczna ocena "ery II-go Gomułki" w rolnictwie jest więc bardzo trudna.

Największą chyba jego zasługą, częściowo wiążącą się z rolnictwem, było **nie dopuszczenie** do nadmiernego zadłużania się kraju za granicą, zwłaszcza z powodu wzmożonego importu zboża z Zachodu. Skutkiem tego oporu Gomułki dług zewnętrzny w momencie jego upadku był niewielki, wynosząc tylko 1,2 mld. dol. (w 10 lat później, kiedy upadał Gierek, dług ten był prawie 20-krotnie wyższy i wynosił 23 mld. dol., stwarzając "pętlę zadłużeniową gospodarki" do dnia dzisiejszego).

B. Rolnictwo/Wieś za Edwarda Gierka.

Po "erze Gomułki II", od 20 grudnia 1970 r. nastąpiła niemal 10-letnia "era Gierka".

Prawdę mówiąc (a wiem to z własnego doświadczenia, będąc w okresie wrzesień 1971-grudzień 1972, zanim nie podałem się do dymisji, doradcą ekonomicznym Edwarda Gierka), następcą Gomułki **żadnych** godnych uwagi pomysłów zmian w funkcjonowaniu "gospodarki socjalistycznej", a w tym rolnictwa, nie miał, a o niesocjalistycznej gospodarce nie mogło być wtedy mowy. Gierek był natomiast w kraju popularny jako "dobry gospodarz z Katowic" (opinia niezaskuszona), wiecowo o nieco bardziej komunikatywny od Gomułki (słynne "Pomożecie?"), a wreszcie, co należy zapisać mu na minus, mniej ostrożny w poczynaniach gospodarczych (chodzi m. in. o wspomniane beztróskkie zadłużanie się za granicą. Za mojego doradztwa, w 1971 r. żadnych nowych długów nie było, a w 1972 r. nowe długi wyniosły tylko 300 mln. dol., podczas gdy tylko w jednym 1979 r. zadłużono się aż na 3,8 mld. dol.).

Gierek, po objęciu władzy, nie wiedział co konkretnie miał zmieniać w kraju, ale coś tam przyrzekał, ludziom się spodobał, gdyż Gomułki każdy miał już dość, a reszta była już czystą improwizacją. Podwyżek cen z grudnia 1970 r. Gierek nie cofnął, aż do fali nowych napięć, znów na Wybrzeżu oraz w Łodzi. Dopiero pod naciskiem tych wydarzeń, 15 lutego 1971 r., cofnięto

grudniowe podwyżki cen. Jednocześnie, w lutym 1971 r., nowe kierownictwo, Gierek głównie, postanowiło wprowadzić "nową politykę gospodarczą". Przyjęty za Gomułki plan na lata 1971-1975 odrzucono, zaczęto przygotowywać nowy, po roku przyjmując jego poprawioną wersję, o wiele bardziej ambitną od poprzedniej. Nowy plan zakładał znaczne *przyspieszenie* rozwoju kraju, głównie drogą zwiększonych inwestycji, co przy jednocześnie planowanej "odczuwalnej" poprawie stopy życiowej ludności było **niemożliwe** do wykonania, ale nikt tego nie chciał słyszeć. Przyspieszenie było konieczne i możliwe, głównie drogą usprawniania funkcjonowania gospodarki, ale nie drogą zmasowanych inwestycji, do których kraj **nie był** przygotowany. Z góry było też oczywiste, że bez kredytów obcych podniesione zadania nowego planu **nie mają** szans realizacji.

Odnosnie rolnictwa, założenia planu, jak na jego ogólnie optymistyczny ton, były skromne, wynosząc tylko 20-procentowy przyrost produkcji (dla planowanego 18-procentowego przyrostu płac realnych było to jednak wystarczające). Natomiast w polityce rolnej władz pojawiły się dwa nowe elementy: ostateczne zniesienie obowiązkowych oraz oficjalne zrównanie w prawach *wszystkich* form własności (w rzeczywistości jednak *socjalizację* wsi nadal wspierano, zwłaszcza poprzez tzw. *pegeeryzację* rolnictwa).

Gospodarka tymczasem, nad którą faktycznie stracono kontrolę w wyniku zmian w kierownictwie partii i rządu oraz braku planu centralnego przez rok, "strzeliła" w górę, co spowodowało przyływ energii w partyjno-państwowym kierownictwie kraju. Uruchomiono wiele rezerw nagromadzonych przez przezornego Gomułkę, ludzie różnie pracowali ("Polak potrafi" - jak to mówił Gierek), a dyrektorzy zakładów, mając większą swobodę działania w "otwartym planowaniu", ujawniali nowe moce, przyspieszając wzrost produkcji. Planowane na 5-lecie tempo przyrostu dochodu narodowego 6,9 proc. średniorocznie, skoczyło do 10 procent. Roczne tempo przyrostu produkcji rolnej z kolei, planowane na 3,75 procent średniorocznie, niemal podwoiło się w ciągu 3-ich pierwszych lat, osiągając zakładany poziom produkcji rolnej na 1975 r. już w 1973 r.

Nieoczekiwanie dobre wyniki w gospodarce, wprawiły Gierka w euforię (wiem to z rozmowy z nim z kwietnia 1975 r., kiedy już nie byłem jego doradcą. Powiedział mi wtedy, że awansuje Polskę w produkcji światowej z 10-go miejsca na jeszcze lepsze. Na pytanie kogo mieliśmy prześcignąć, a 10-te miejsce nie było przecież prawdą, Gierek nie wiedział..).

W wyniku tej euforii, realizowaną 5-latkę zrewidowano w górę, "podnosząc poprzeczkę" - jak to mówiono - podwyższając zadania w produkcji rolnej z 20 do 23 procent, czyli windując średnioroczne tempo przyrostu do

4,25 procent.

Wkrótce potem, od 1974 r. poczynając, tempo produkcji rolnej - wybiegając w przyszłość - gwałtownie obniżyło się, głównie ze względów pogodowych, z katastrofalnym rokiem 1980, kiedy to spadek produkcji rolnej przekroczył 10 procent. Zamiast więc przyrostu tej produkcji w latach 1971-1975 o 23 procent, za całe 10-lecie, lata 1971-1980, przyrost ten wyniósł tylko 10,3 procent, czyli przyrost wynosił tylko 1 procent średniorocznie.

Tego jednak nie przewidziano, a ponieważ w I połowie lat 1970-ch produkcja rolna wzrosła o 12 procent, więc liczący się z jej przyśpieszeniem w latach późniejszych. Awansem niejako zaczęto zatem rozwijać produkcję mięsa, która w tym czasie wzrosła aż o 30 procent. W II połowie lat 1970-ch, kiedy produkcja roślinna spadła zamiast wzrosnąć (poza burakami cukrowymi), utrzymanie takich dysproporcji pomiędzy przyrostem tych obu działów produkcji stało się już niemożliwe. Tym bardziej, że w "erze Gierka" konsumpcja mięsa i tłuszczów zwierzęcych na 1 mieszkańca wzrosła o 21 kg, dochodząc do 74 kg. "Schaboszczak" stał się nie tylko wizytówką dobrobytu, ale wręcz "artykułem politycznym", absorbującym zarówno władzę jak i ludność. Mięso w sklepie zaczęło decydować o przyszłości kraju. Nikt nie wiedział gdzie były granice tego specyficznego popytu (w stolicy i na Górnym Śląsku konsumpcja mięsa, tłuszczów i wyrobów mięsnych przekraczała 140 kg, przynajmniej na papierze).

Nie przewidując niepomyślnego obrotu spraw w rolnictwie, chcąc też wprowadzić w życie hasło "żeby Polska rosła w siłę i ludzie żyli dostatnio", podnoszono beztrąsko i *na wyrost* stopę życiową, w tym podaż mięsa, licząc na "jakoś tam będzie". Wzrost w latach 1971-1975 płac realnych o prawie 40 procent i ogólnej konsumpcji o 52 procent, przy rozbudzonych apetytach na jeszcze więcej i przy gwałtownie malejącym tempie przyrostu produkcji rolnej, a faktycznie jej załamaniu się, groził nieuchronną katastrofą.

Próba zaradzenia narastającemu kryzysowi, przy pomocy prób zahamowania szybko rosnącego popytu na mięso i wędliny, została podjęta w czerwcu 1976 r. Podwyżka ich cen o 69 procent nie udała się jednak wskutek gwałtownych protestów w Ursusie i Radomiu (również i te wydarzenia mają niezbyt jasne tło).

Dramatyzm sytuacji, co już częściowo wspomniano powyżej, pogłębiała wyjątkowo zła sytuacja w rolnictwie w II połowie lat 1970-ch, głównie spowodowana nieurodzajami. Produkcja rolna w okresie 1976-1980, zamiast planowanego wzrostu o 15-16 procent, w rezultacie tego **spadła** aż o 8 procent, a ponieważ roślinna spadła o 16 procent, podczas gdy zwierzęca tylko o 2 procent, istniejący deficyt pasz pogłębił się więc niebezpiecznie. Ostatnim

akordem, zawinionym zresztą głównie przez zły urodzaj, był częściowo już wspomniany rok 1980, gdzie przy 10-procentowym spadku produkcji rolnej, produkcja roślinna spadła o 16 procent, zwierzęca o 6 procent, podczas gdy ziemniaków aż o 47 procent (przypomnijmy, że był to akurat okres "Lata 80").

Ratunkiem w tej sytuacji był wzmógłony import zbóż i pasz, na warunkach kredytowych, gdyż w obrotach handlu zagranicznego, poza niewielką nadwyżką w 1971 r., w całym 10-leciu występował duży deficyt w bilansie handlowym.

W 1970 r. na przykład, import zbóż i pasz wynosił 2,5 mln. ton, wywołując gniew Gomułki. W 1980 r., za Gierka, w efekcie nieprzerwanego narastania tego importu z roku na rok, wzrósł on aż do 8,7 mln. ton. Przeliczając pasze treściwe na zboże, import przekroczył 10 mln. ton! W 1970 r. pszenicy konsumpcyjnej i paszowej importowano 1 mln. ton, podczas gdy w 1980 r. prawie 3,5 mln. ton, kukurydzy odpowiednio 0,2 mln. ton i 2,5 mln. ton, jęczmienia 1 mln. ton i 1,1 mln. ton, śruty i makuchów nasion oleistych 0,3 mln. ton i 1,4 mln. ton oraz soji 65 tys. ton i prawie 280 tys. ton.

Przy okazji wyszło na jaw jak bardzo centralne planowanie **rozumiało** się z życiem, nawet na okresy nawet średnioterminowe.

Według planowanych założeń na 1980 r., plony 4 zbóż miały osiągnąć 31-32 kwintale z hektara, a wyniosły tylko do 24,2 kwintali, spadając z 25,5 kwintali w 1970 r., aczkolwiek w latach dobrego urodzaju, jak w 1976 r., wyniosły odpowiednio 31,2. Ziemniaków miano zebrać 250 kwintali z hektara, a zebrano tylko 177 kwintali, identycznie jak w 1970 r. W wyniku tego spadek zbiorów 4 zbóż w omawianym okresie wyniósł prawie 1 mln. ton, podczas gdy ziemniaków 5 mln. ton. I wszystko to działo się przy zwiększonych znacznie inwestycjach w rolnictwie oraz postępującej mechanizacji i chemizacji produkcji rolnej. Ilość traktorów wzrosła bowiem w tym czasie z 225 do 619 tysięcy, podczas gdy zużycie nawozów sztucznych wzrosło z prawie 124 kg na hektar do 193 kg.

Pogłowie bydła miało osiągnąć 15 mln. sztuk, a osiągnęło tylko 12,6 mln. sztuk. Było to, co prawda, więcej niż 10,8 mln. sztuk w 1970 r., ale pogłowie krów odpowiednio spadło z 6,1 mln. do 5,9 mln. Na szczęście produkcja mleka wzrosła mimo spadku pogłowia krów, z 14,5 mln. ton do 16 mln. ton, podczas gdy udój od 1 krowy wzrósł z prawie 2,4 tys. litrów do ponad 2,7 tys. litrów.

Poziom trzody chlewnej planowano na 23,5 mln. sztuk, a było tylko nieco ponad 21,3 mln. sztuk, ale w stosunku do 13,4 mln. sztuk z 1970 r. był to przyrost bardzo wysoki.

Pogłowię koni wreszcie, spadło z 2,6 mln. do prawie 1,8 mln., co było *pozytywnym* zjawiskiem.

Przechodząc z kolei do obrotów artykułami rolno-spożywczymi w handlu zagranicznym, to w świetle powyższej sytuacji, musiały one ulec **zalaniamu się** jak nigdy dotąd w historii PRL. Wzrost importu artykułów rolnych, zwłaszcza tych z tzw. strefy umiarkowanej, wydawał się nie mieć końca, podczas gdy na eksport brakowało masy towarowej i gdyby nie wymóg utrzymania rynków zbytu na niektóre towary, to nie byłoby jej niemal w ogóle.

Importowi zbóż i pasz treściwych należy więc przypisać winę za ok. 1/3 zadłużenia zagranicznego kraju w latach 1970-ch.

“Era Gierka”, z jej dramatycznym końcem, zasługuje na uwagę, podobnie jak poprzednio omawiane okresy, jeszcze od innej strony.

Ilość indywidualnych gospodarstw obniżyła się z 3,2 mln. w 1970 r. do 2,8 mln. w 1980 r., przy zmniejszeniu się areалу przeciętnego gospodarstwa do 5,2 ha, w związku ze zmniejszaniem się użytków rolnych tego sektora w ogóle. Wewnętrznych przesunąć w ich wielkości niemal nie było (60 procent gospodarstw było z arealem poniżej 5 ha).

Nie tak jednak jak za Gomułki, gospodarstwa indywidualne były ekonomicznie *bardziej wydajne* od państwowych i spółdzielczych (mimo to ilość spółdzielni produkcyjnych wzrosła w tym okresie 2,3-krotnie, głównie dlatego, że z PFZ. wraz z PGR-mi, uzyskały 700 tys. ha ziemi).

Udział ludności wiejskiej w ilości mieszkańców kraju spadł z prawie 48 procent w 1970 r. do nieco ponad 41 procent w 1980 r. Ilość czynnych zawodowo ludzi w rolnictwie spadła odpowiednio z 4,4 mln. do 4 mln., co oznaczało spadek ich udziału w ogólnokrajowym zatrudnieniu z 29 do 23 procent. W rzeczywistości, zatrudnienie na wsi było zapewne mniejsze, gdyż ok. 1,5 mln. *chłoporobotników* tylko dorywczo pracowało na roli. Nierzadko też praca w gospodarstwie rolnym spoczywała na ludziach starszych, często owdowiałych.

Udział rolnictwa w wytwarzaniu dochodu narodowego spadł za Gierka z prawie 23 procent do 12,7 procent. Częściowo, podobnie jak w całym okresie PRL, spadek ten wynikał z *niekorzystnych* relacji cen artykułów rolnych w stosunku do przemysłowych. Z drugiej strony, subsydiowanie z budżetu konsumpcji podstawowych artykułów żywnościowych stwarzało na nie duży popyt, wobec czego rolnictwo nie miało kłopotów ze zbytem swojej produkcji. Problem była tylko opłacalność tej produkcji, gdyż dopłaty do niej z budżetu, obciążonego już dopłatami do konsumpcji żywności, średnio ponad 1/5 jego wydatków, było wykluczone. Problem ten częściowo rozwiązywano

systemem dostaw kontraktacyjnych, zwłaszcza w przypadku tworzonych za Gierka tzw. gospodarstw specjalistycznych, koncentrujących się na wytwarzaniu tylko niektórych asortymentów towarowych, gdzie wzajemne relacje cen były dla producentów bardziej korzystne.

Zakończono elektryfikację wsi, wzrosło znacznie budownictwo wiejskie, jak też poprawiło się wyposażenie gospodarstw w różnego rodzaju dobra użytku trwałego.

Chłopi indywidualni zostali objęci w 1972 r. ubezpieczeniami zdrowotnymi, a w 1971 r. i 1974 r. wspomnianymi już w innym miejscu ubezpieczeniami emerytalno-rentowymi.

Wszystko to nie zapobiegło jednak pogłębianiu się kryzysu w rolnictwie, a najbardziej widowym tego przykładem był w latach 1970-ch bezwzględny **spadek** produkcji o 8 procent w dziale roślinnym, a ponieważ była ona o 1/8 wyższa od zwierzęcej, więc efekt tego spadku na produkcję rolną w ogóle był tym większy.

“Era Gierka”, gdyby był naprawdę gospodarzem, za jakiego chciał uchodzić i gdyby szczęście do pogody i koniunktury światowej sprzyjały mu - skończyłaby się zapewne *inaczej* niż to stało się. Gierek **najbardziej** potknął się na rolnictwie, stanowiącym tylko jakoby niecałą 1/8 część produkcji krajowej pod koniec jego “ery”. Jego “perspektywiczny program wyżywienia narodu” został jednak pokrzyżowany nie tylko przez powyżej wspomniane przyczyny. Przecież to pod jego kierownictwem XV Plenum KC z października 1974 r. głosiło w swojej uchwale, że *“nadrzędnym zadaniem polityki rolnej partii...jest zapewnienie systematycznego wzrostu produkcji rolnej i przemian społecznych w rolnictwie w kierunku socjalistycznym”* (podkreślenie moje; Z.R.).

No cóż, w praktyce okazało się, że jedno i drugie było niemożliwe.

C. Rolnictwo/Wieś za gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Przypisywanie Gomułce, Gierkowi czy Jaruzelskiemu wszystkich błędów PRL, zwłaszcza w rolnictwie, jest poważnym uproszczeniem, gdyż “zarabiała” na nie zarówno sytuacja wewnętrzna w kraju, wynik działań *wielu* ludzi, jak też międzynarodowa, zupełnie *niezależna* od Polski, czerwonej czy białej.

Dla uniknięcia jednak zawiłych komentarzy, pozostaniemy z przypisywaniem nazwisk do poszczególnych etapów w historii PRL.

Jaruzelski, jak wiadomo, został premierem 11 lutego 1981 r., a I Sekreta-

rzem KC PZPR w ponad 8 miesięcy później, 16 października. Będąc jednakże ministrem obrony narodowej, Jaruzelski, już od wydarzeń "Lata 80" był faktycznie **pierwszą** osobą w PRL, zanim został nią formalnie.

Rola Jaruzelskiego w ostatnich 10-ciu latach istnienia PRL ciągle jeszcze oczekuje obiektywnego opracowania, jeśli coś takiego jest naprawdę możliwe. On sam bowiem nic na ten temat nie mówi, albo mówi nieprawdzwie.

Pozostawiając jednakże różne znaki zapytania na uboczu, chodzi o jego rolę w takim, a nie innym rozwoju sytuacji w rolnictwie polskim w latach 1980-ch.

Na ile Jaruzelski jest winien sytuacji, w której się znalazł, pozostawmy to historykom. Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że znalazł się w sytuacji **gorszej** od swoich poprzedników. Rządził też krócej od Gomułki i Gierka. Formalnie odszedł z prezydentury dopiero 20 grudnia 1990 r., ale faktycznie rządu swoje skończył już wcześniej, zajmując się gospodarką od 6 listopada 1985 r. już znacznie mniej, od kiedy przestał być premierem po objęciu funkcji przewodniczącego Rady Państwa (zachowując przywództwo nad PZPR, do 29 lipca 1989 r.). Niezależnie od tego, okres, w którym Jaruzelski miał jakiś wpływ na gospodarkę, trwał co najwyżej do połowy 1988 r. Potem, bez rozgłosu, z wyroków Kremla, rozpoczął się demontaż PRL, samouwłaszczanie się Nomenklatury i przygotowywanie do oddania pałeczki kolejnej agencji. Z tego też powodu rola "jaruzelszczyzny" w gospodarce kończy się na 1988 r., od strony bilansu jej dokonań jedynie, bez wchodzenia w jego istotę, gdyż PRL kończyła już swój żywot i rozważania na temat tego etapu nie mają już sensu.

Przechodząc teraz do omówienia tego końcowego okresu należy stwierdzić, że dochód narodowy, który już w 1979 r. spadł o 2,4 procent, zjawisko dotąd *niesłychane* w PRL, spadł wskutek wydarzeń "Lata 80" o dalsze 5,4 procent, w 1981 r., kiedy Jaruzelski już formalnie obejmował władzę etapami, jeszcze o 12 procent, a po ogłoszeniu "stanu wojennego" o kolejne 5,5 procent w 1982 r.. W ciągu 4-ch lat dochód narodowy zmniejszył się więc o ponad 1/4, co było autentyczną **tragedią** narodową

W odpowiedzi na "stan wojenny", Zachód zaczął stosować sankcje gospodarcze, głównie w postaci odmowy nowych kredytów, bez których gospodarka nie mogła już normalnie funkcjonować, a jednocześnie dług, który wiślał nad PRL, aczkolwiek chwilowo prawie nie spłacany, rósł nadal.

W kraju sytuacja była napięta, a byłaby zapewne jeszcze bardziej, zwłaszcza po podwyżkach cen na początku 1982 r., gdyby nie paraliżujące społeczny protest rygory "stanu wojennego".

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że w ramach istniejących możliwości, nie tylko gospodarczych, dokonano niezwykłego wyczynu, osiągając w 1986 r. poziom dochodu narodowego z 1980 r. (ale nie z 1978 r., który osiągnięto dopiero w połowie lat 1990-ch, a na głowę 1 mieszkańca nawet nieco później).

Co do sytuacji w rolnictwie, to nowa polityka rolna **zrównała** wreszcie wszystkie własnościowe sektory, stwarzając indywidualnej gospodarce chłopskiej formalnie, choć mniej faktycznie, równy start z "sektorem socjalistycznym".

Globalna produkcja rolnicza w okresie 1981-1988 wzrosła, mimo nie najlepszej pogody, o 15,1 procent, czyli średniorocznie o 1,8 procent. Tempo nie było zadawalające, ale było ono i tak wyższe niż w okresie gierkowskim, zwłaszcza z II połowy lat 1970-ch. Co ważniejsze, przyrost ten osiągnięto przy spadku kosztów produkcji (spadek dotyczył w równej mierze wszystkich sektorów własnościowych). Nacisk był położony na produkcję roślinną, zwłaszcza zbożową, gdyż brak dewiz i kredytów na ich zakup, zmuszał do cięć w imporcie. Mimo spadku areału zasiewów, zbiory 4 zbóż wzrosły w stosunku do 1980 r. o ponad 5 mln. ton, do 24,5 mln. ton (w 1987 r. przekroczyły nawet 26 mln. ton). Średnie zbiory z hektara wyniosły w 1988 r. 29 kwintali (w PGR nawet 34 kw., podczas gdy w gospodarstwach indywidualnych 28,1 kw.). Niższe nieco były natomiast zbiory ziemniaków i buraków cukrowych, aczkolwiek z 1 hektara zebrano ich więcej niż w 1980 r.

Ze względu zaś na spadek importu pasz, zwłaszcza kukurydzy, jęczmienia i pszenicy pastewnej, nastąpił spadek w pogłowie zwierząt hodowlanych. Stan pogłowia bydła, w stosunku do 1980 r., obniżył się o 2,3 mln. sztuk, w tym krów o 1,1 mln. (do 10,3 mln. i 4,8 mln. odpowiednio), a trzody chlewnej o 1,7 mln. sztuk (do 19,6 mln. sztuk, choć w latach 1985-1988 przyrost jego wyniósł 2 mln. sztuk). Dramatycznie obniżyło się też pogłowie koni, z prawie 1,8 mln. do 1 mln. Spadła, niestety, produkcja mleka, o ponad 1 mln. ton, ale za to roczny udój od 1 krowy wzrósł prawie o 400 litrów, do niemal 3,2 tys. Znaczny był też przyrost produkcji warzyw i owoców.

Ilość indywidualnych gospodarstw spadła w tym okresie z 2,9 mln. do 2,6 mln., podczas gdy ich przeciętny areał pozostał *nie zmieniony*, wynosząc 5,2 ha.

W każdym razie, biorąc pod uwagę trudne warunki, produkcja żywności miała tylko niewielki spadek w niektórych asortymentach, w mięsie ok. 4 kg na 1 mieszkańca, podczas gdy w niektórych wystąpił nawet niewielki przyrost.

Dochody z gospodarki rolnej **obniżyły się** o ok. 8 procent i to we wszyst-

kich sektorach, aczkolwiek po 1985 r. notowany był ich wzrost. Spadło budownictwo wiejskie, mimo że ogólnie nakłady inwestycyjne w rolnictwie wzrastały. Ilość traktorów niemal podwoiła się, do 1,1 mln., wzrosło znacznie zużycie energii elektrycznej w rolnictwie, ale za to, ze względu na zmniejszony import surowców, spadło zużycie nawozów sztucznych na 1 ha, ze 193 kg do 173 kg (wzrosło natomiast zużycie nawozów wapniowych). Udział ludności wiejskiej obniżył się nieznacznie w ilości mieszkańców kraju, do 39 procent, podczas gdy udział rolnictwa w wytwarzaniu dochodu narodowego **wzrósł** do 15,5 procent, zjawisko dotąd *niespotykane* w historii PRL.

Dramatycznej wręcz **poprawie** uległa natomiast sytuacja w obrotach produktami rolnictwa z zagranicą. Import, który w tej dziedzinie w 1981 r. przekraczał eksport prawie 4-krotnie, w 1988 r. niemal wyrównał się z eksportem.

D. Spadek po PRL.

Rolnictwo polskie, z Wsią jako jego częścią składową, przeszło w czasach PRL przez liczne wiraże. Nie było w tym odosobnione, gdyż każda gałąź nierolniczej gospodarki, też przez nie przechodziła. Rolniczo-wiejskie wiraże jednakże były **szczególnego** rodzaju. W okresie międzywojennym, poza wahaniami koniunkturalnymi, żadnych wiraży nie było, ale też *nie było* przyrostu produkcji rolnej. Przeciwnie, w przeliczeniu na głowę mieszkańca wystąpił **spadek** produkcji rolnej.

W PRL wiraże były, ale był także ponad 2-krotny **przyrost** produkcji rolnej. Inna rzecz, że w latach 1971-1988, w okresie niemal równym istnieniu II RP, praktycznie **nie było** przyrostu produkcji rolnej.

Czy jednakże przyrost produkcji rolnej za cały okres istnienia PRL mógł być większy?

Zapewne tak. I w istocie **był** taki przyrost, ale zakamuflowany. Tak na przykład, przyrost produkcji przemysłowej za okres 1950-1988 podawano jako rzędu 20-krotnego, a więc *10-krotnie* wyższy od przyrostu produkcji rolnej.

Skąd tak wielka różnica, zwłaszcza przy niewątpliwym postępie mechanizacji i chemizacji rolnictwa, jak i większej wiedzy agrotechnicznej chłopca, bo przecież jego pracowitość nie uległa zmianie?

Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w **relacji** cen artykułów rolnych w stosunku do cen artykułów przemysłowych, która była *niekorzystna* dla tych pierwszych. W rzeczywistości więc, przyrost produkcji rolnej w PRL był zapewne **wyższy** od oficjalnego, może nawet 4-krotny, a *nie* jedynie 2-

krotny. Rolnictwo - jak to w PRL mówiono - istotnie "*nie nadążało za przemysłem*", ale **nie** w stopniu oficjalnie podawanym.

Pół biedy, gdyby choć udało się stworzyć wydajny i konkurencyjny przemysł, który mógłby dziś podciągnąć rolnictwo do przodu.

Niestety, takiego przemysłu **nie ma** i nawet trudno powiedzieć czy jest on choćby trochę bardziej wydajny i konkurencyjny od rolnictwa. I to pomimo, że cały naródłożył na niego sowicie, chłop **więcej** niż ktokolwiek inny.

Rolnictwo w PRL wreszcie, jak **żadna** inna gałąź gospodarki, miało przyśłowiove "*wariackie papiery*", będąc ni to kapitalizmem ni socjalizmem, ze zmiennymi perspektywami rozwoju.

W rezultacie tego, rolnictwo, po 45-letnim okresie różnych zawirowań i braku długofalowej wizji jego miejsca w gospodarce narodowej, zdezoriontowane i rozpaprane, bez złapania "drugiego oddechu", wpadło w **kolejny** wiraż, jakim jest jego "urynkowanie".

CZĘŚĆ II :

POLSKA POOKRĄGŁOSTOŁOWA

Częściowo wolne wybory z czerwca 1989 r. do odtworzonego Zgromadzenia Narodowego, pomijając genezę tego nadal *niezbyt* jasnego wydarzenia, stały się w Polsce początkiem przemian, którego końca jeszcze nie znamy.

Polska, choć można mieć wątpliwości czy tak jest istotnie, odzyskała pełną niepodległość i suwerenność, gdyż niepełne były już w czasach PRL, jak też wszedł na drogę budowy demokracji parlamentarnej i gospodarki wolnorynkowej. Formalnie przynajmniej, procesowi temu sprzyjają *wszystkie* siły polityczne kraju.

Jak zatem przebiega ten proces w rolnictwie i na obszarach wiejskich?

1. Od planu do rynku.

A. Karkołomny wiraż.

Dlaczego Polska, podobnie jak wszystkie inne Europy Środkowej i Wschodniej oraz niektóre kraje b. ZSRR, postanowiła przejść na gospodarkę rynkową, czyli kapitalistyczną, jest już mniej istotne, ale ważne jest niewątpliwie *co* wiedziała o gospodarce rynkowej, na której budowę porwała się z entuzjazmem.

Co się tyczy wiedzy na temat funkcjonowania gospodarki rynkowej, to w Polsce była ona co najwyżej mglista, a już *żadna* w szeregach "Solidarności", która w sierpniu-wrzeźniu 1989 r. formalnie doszła do władzy.

"Solidarność", zarówno NSZZ Lecha Wałęsy, jak i NSZZ Rolników In-

dywidualnych Józefa Ślisza, politycznie patronujące transformacji systemowej, której największe natężenie przypadło na okres pomiędzy 1 sierpnia 1989 r. a 1 stycznia 1990 r., były kompletnie zdezorientowane i *nikt* się ich o żadną zgodę ani radę nie pytał. One same z kolei, też *nikogo* o nic nie pytały. Siłą rzeczy więc, "pędu rynkowego" nie tylko nie powstrzymywały, ale go jeszcze wspierały. Wałęsa mówił nawet, że reforma Balcerowicza jest "bandycka", ale *trzeba* przez nią przejść...

Naprawdę jednak, głównym sprawcą "rynkowego pędu" *nie była* wałęsowska i śliszowska "Solidarność", ale PZPR, której sekundowały ZSL (wkrótce już PSL) oraz SD. Siły te, a właściwie tylko PZPR, zabrały się do dzieła bez rozgłosu. "Ciche reformy", jak na przykład w zakresie funkcjonowania przedsiębiorstwa, rzecz *niezwykle* istotna, PZPR przeprowadziła jeszcze w 1988 r., zapoczątkowując nimi burzliwy proces "samouwłaszczania się" Nomenklatury, zwany później "prywatyzacją". Innym krokiem w kierunku "urynkowienia" gospodarki były przeprowadzone również 1988 r. zmiany w traktowaniu działalności kapitału obcego w Polsce. Inną i ważną operacją, ukrytą przed opinią publiczną, jako że jej wykonawcami były służby specjalne, które faktycznie przejęły sferę stosunków gospodarczych z zagranicą, było utworzenie FOZZ, Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego.

Wszystkie te zmiany i operacje, w połączeniu z obaleniem Komisji Planowania przy Radzie Ministrów i wskrzeszeniem na jej miejsce CUP, Centralnego Urzędu Planowania, bez jakichkolwiek decyzyjno-kierowniczych uprawnień w gospodarce, stworzyły *pierwsze* zręby pod gospodarkę rynkową. W rzeczywistości, gwołi prawdy historycznej, proces zamiany socjalizmu na kapitalizm zaczął się nawet *jeszcze* wcześniej, w 1986 r., w rezultacie tzw. II etapu reformy gospodarczej pod patronatem Jaruzelskiego, ale jego punkt kulminacyjny przypadł dopiero na lata 1988-1990.

Władze PRL, w każdym razie, zdając sobie doskonale sprawę z *niewiedzy* społeczeństwa na temat funkcjonowania gospodarki rynkowej, równocześnie zaprzatając głowę działającym legalnie od kwietnia 1989 r. obu "Solidarnościom" rozdawaniem stołków po czerwcowych wyborach, nie miały przeszkód w kontynuowaniu rozpoczęte już wcześniej reformy, choć w międzyczasie niby związały swoje manatki.

Kolejnym i *najważniejszym* ich krokiem, dla rolnictwa *brzemienym* w skutki, było "urynkowienie" przez te władze cen artykułów żywnościowych z dniem 1 sierpnia 1989 r.

Był to początek już *otwartych* przemian systemowych w gospodarce, gdyż dotychczasowe były w różnym stopniu zakamuflowane.

"Urynkowienia" cen dokonał, przeżywający ostatnie dni swojej kaden-

cji, rząd Mieczysława Rakowskiego. Dlaczego nie poczekał z tym na rząd "Solidarności" - pozostaje do dziś pytaniem **bez** odpowiedzi. Ustępujące niby "stare władze", znając zapewne realizowany przez siebie scenariusz przyszłych wydarzeń, z jakichś powodów wołały *same* zapoczątkować już nie kamuflowane zmiany systemowe, niż powierzać je innym. Ustępujące wkrótce władze, "urynkowaniem" cen żywności, przeprowadzonym z zaskoczenia, wywołały olbrzymie **zamieszanie** już na samym początku przemian systemowych, zamieniając nasilającą się inflację w *hiperinflację* i stwarzając tym samym pozycję wyjściową pod nadchodzącą "terapię szokową" Balcerowicza.

Rakowski, przeprowadzając na forum rządu, a **nie** "kontraktowego" Sejmu decyzję o "urynkowaniu gospodarki żywnościowej" - jak akt ten nazwano - wspominał potem w swojej książce pt. "Jak to się stało", że wieś jakoby "*domagała się jej od dawna*".

Mówił prawdę, ale nie całą. Chłopi istotnie, w warunkach już *nie regulowanego* przez plan centralny zaopatrzenia rynku w żywność, upatrywali w jej wolnych cenach **podwyższenia** swoich dochodów. Od lat bowiem, podobnie jak inne warstwy społeczne, musieli zadawałać się zamrożonymi, jeśli nie spadającymi dochodami. Mieli więc powody do szukania poprawy swojego bytu. Popyt na żywność - rozumowali - przy olbrzymim "nawisie inflacyjnym" i początkach hiperinflacji był silny, a to gwarantowało jej zbyt, nawet po realnie wyższych dla konsumenta cenach.

Dokonując *operacji cenowej* Rakowski, tradycyjnie nie interesujący się problemami gospodarczymi, nie próbował nawet szukać opinii chłopów, czy i jak jej dokonać. W książce wspomina tylko mimochodem, że naciski w tym kierunku wywierało na niego ZSL, z członkiem jego kierownictwa, wicepremierem Kazimierzem Olesiakiem na czele. O **nikim** innym, żadnej wałęsowskiej czy śliszowskiej "Solidarności", nie wspomina słowem. Odchodząca władze przygotowały więc operację *wyłącznie* we własnym gronie.

Chłopi przyjęli z entuzjazmem "urynkowanie" cen artykułów żywnościowych. Dochody ich zaczęły bowiem piąć się w górę i jakoś nie przyszło im do głowy, że "*dobrze było złego początkiem*". Wraz ze swoimi bądź już istniejącymi czy dopiero rodzącymi się organizacjami i partiami, chłopci nie przewidzieli, niestety, zastawionych na nich przy tej okazji dwóch pułapek.

Pierwszą był oczywisty fakt, że skoro "uwolniono" ceny na żywność, to w następnej kolejności należało oczekiwać *tego samego* w odniesieniu do cen artykułów przemysłowych. Silniejszy na rynku od rolnictwa przemysł - można było podejrzewać - podyktuje wtedy ceny korzystne dla siebie, a **nie** dla rolnictwa.

I tak, zanim nastał z początkiem stycznia 1990 r. Akt II zamiany socjalizmu na kapitalizm, "terapia szokowa" Leszka Balcerowicza, b. aktywisty PZPR, a nie "Solidarności", akceptowana przez "kontraktowy Sejm" i podpisana prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego, podstawy pod gospodarkę rynkową zostały *wcześniej* położone przez Rakowskiego.

Wraz z ruszeniem "terapii szokowej" Balcerowicza, istniejąca już wcześniej hiperinflacja rozszalała się, gdyż "uwalniane" ceny artykułów przemysłowych pięły się teraz **szybciej** w górę od cen artykułów żywnościowych.

Następstwem tego było przejście chłopów od radości do rozpacz. Rodzący się wolny rynek, zamiast wesprzeć chłopów - jak to sobie wyobrażali - zaczął ich **pograżać** w powstałym raptem kryzysie. Popyt na żywność zaczął bowiem spadać ze względu na postępującą pauperyzację społeczeństwa, co łącznie z szybszym wzrostem cen artykułów przemysłowych niż żywności uderzyło w chłopskie dochody.

Druga pułapka była bardziej złożonej natury. Sektorowi prywatnemu, w tym zamożniejszym chłopom, żyło się w PRL po 1956 r przeciętnie **lepiej** niż pracownikom sektora państwowego. Wynikało to stąd, że socjalizm, ze względów ideologicznych, próbował wydzwignąć przede wszystkim *najuboższe* warstwy społeczeństwa. Awans materialny tych warstw, startujących z niskiego poziomu życia, charakteryzował się **wysoką** elastycznością popytu na żywność, głównie mięso ("wysoka elastyczność popytu" na określony produkt oznacza zwiększone jego zakupy wraz ze zwiększającymi się dochodami). Częściowe subsydiowanie tego popytu przez budżet centralny, w formie dopłat do konsumpcji podstawowych artykułów żywnościowych, stwarzało w efekcie **chlunny** na nie rynek. Podaż żywności, zwłaszcza mięsa i jego wyrobów, nie nadążała za popytem, co w konsekwencji spowodowało powstanie "rynku sprzedawcy". W tej sytuacji, chłop, rozporządzający nadwyżką rynkową, mógł ją **bez trudu** upłynnić poprzez państwowy aparat skupu bądź bezpośrednio na targowisku. Kwestią dla niego była tylko *cena* sprzedażna, którą bezpośrednio i pośrednio kontrolowało państwo.

Mając przeświadczenie *niepełnego* wykorzystania "rynkowej szansy", chłop w kontroli cen zaczął się więc dopatrywać swojego przeciwnika. Nie bardzo rozumiał, że na *niedoskonałym* rynku, jaki istniał w socjalizmie, nie tylko w odniesieniu do żywności, uwolnienie cen od kontroli państwowej **zmieni** jego reguły gry.

Tak też stało się. "Terapia szokowa" uderzyła **najbardziej** w odbiorców chłopskiego towaru. Pauperyzacja większości społeczeństwa, przy galopującej inflacji, rezultat "uwalniania" cen, przy spadku płac realnych i rosnącym masowym bezrobociu, bardzo szybko ujawniła **barierę** popytu na żywność.

Ratunkiem mógł być ewentualnie eksport, ale w zewnętrznych realiach rynkowych alternatywa taka była wysoce ograniczona.

W połączeniu z pogłębiającym się **niekorzystnym** układem cen pomiędzy sprzedawanymi i nabywanymi artykułami, chłop, zamiast stanąć w obliczu pomyślnej koniunktury, stanął w obliczu kryzysu. Układ cen w samym tylko w 1990 r., pierwszym roku "terapii szokowej", pogorszył się dla niego aż o **połowę** (dokładnie 50,5 procent). W roku następnym, 1991, wzajemne relacje cen pogorszyły się o **dalsze 25,2 procent**. W latach następnych sytuacja **nie zmieniała się** na lepsze, a przeciwnie - pogarszała się.

W wyniku tego, tylko w latach 1990-1991, na *5-krotny* wzrost cen artykułów sprzedawanych przez chłopą, reszta gospodarki, przemysł w pierwszym rzędzie, odpowiedziała mu aż *13-krotnym* wzrostem cen!

Jak dalece, kształtujący się niekorzystnie dla chłopą ten układ cen odbił się na jego sile nabywczej, niech świadczy następujący przykład:

- w 1988 r. za 1 kwintal pszenicy chłop mógł nabyć 92 litry oleju napędowego, ale w 1993 r. już tylko 37 litrów;

- w 1988 r. za 1 kilogram żywca wieprzowego 6 litrów oleju napędowego, ale w 1993 r. jedynie 2 litry.

Podobnych przykładów było znacznie więcej. Niekorzystny układ cen i spadek popytu na podstawowe artykuły żywnościowe, stworzył w ten sposób nieoczekiwaną przez chłopów **kryzysową** sytuację.

Chłopi jednak, po pomyślnym dla nich roku 1989, kiedy to ich dochody realne wzrosły o ok. 10 procent, nie natychmiast "połapali się" w zmianie sytuacji na gorszą. W 1990 r., w odróżnieniu od przemysłu, który na "terapię szokową" zareagował ostrym spadkiem produkcji, o 1/4-tą, nie poszli w jego ślady i siłą zeszlórocznego rozpędu, produkcji nie zmniejszyli. Przeciwnie, uwzględniając spadek nakładów, tzw. czystą produkcję jeszcze zwiększyli, co wywołało przedwczesną radość Leszka Balcerowicza, że jego reforma "zaskoczyła" w rolnictwie (dał temu wyraz w swojej książce "800 dni"). Przedwczesną, gdyż produkcja rolnictwa już odtąd spadała, obniżając się w latach 1991-1994 o niemal 23 procent (częściowo winę ponosi tutaj susza w 1992 r. i 1994 r.). Potem było z nią różnie, najlepiej w 1998 r., kiedy wzrosła o 6,6 procent, ale dla chłopów była to kolejna niemiła niespodzianka, gdyż spadkowy trend cen *obniżył* ich dochody o conajmniej 10 procent (w niektórych gospodarstwach, w zależności od profilu produkcji, do 30 procent). W 1999 r., w związku ze spadkiem produkcji rolnej, szacowanym w chwili pisania tych słów o 6 procent, dochody chłopów znów spały, ale nie wiadomo dokładnie o ile.

Według opinii polskich ekspertów z Ministerstwem Rolnictwa i Gospo-

darki Żywnościowej na czele, winę za ten stan rzeczy ponoszą **niekorzystne** dla produkcji rolnej *ekonomiczne* warunki spowodowane transformacją systemową.

Jest to **ciężki** zarzut, z którego autorzy transformacji *powinni* rozliczyć się, aczkolwiek jak dotąd nie ma nadziei, że tak właśnie uczynią.

B. Ignorancja i improwizacja.

Kto, gdzie i jak opracował w Polsce założenia reformy systemowej - nadal **nie jest** jasne. Kto był jej wykonawcą z kolei, coś już wiadomo z późniejszych wynurzeń Rakowskiego i Balcerowicza, głównie tego ostatniego. Coś, gdyż daleko nie wszystko, jako że mieli czas na przemyślenie swoich dokonań i odpowiednio je "podfryzowali" w opublikowanych wspomnieniach. Na szczęście, przetrwały ich niektóre publiczne wypowiedzi i one przede wszystkim stanowią materiał dowodowy. Balcerowicz na przykład, uważał rozpoczynaną "terapię szokową" za operację *co najwyżej 4-miesięczną*, właściwie bez negatywnych skutków w postaci głębokiego spadku produkcji i dochodów realnych ludności oraz gwałtownego wzrostu bezrobocia.

Nic dziwnego więc, skoro główny architekt transformacji systemowej miał takie o niej wyobrażenie, że późniejsze jej wyniki były takie, a **nie inne**.

Przypomnijmy je pokrótce, jako że po latach stopniowo są już zapomniane.

Przedtem jednak należy wyjaśnić, że sprawozdawczość statystyczna w Polsce, nigdy nie najlepsza, po 1989 r., wskutek gwałtownych ruchów cen i wymknięcia się gospodarki spod kontroli, pozostawia szczególnie wiele do życzenia. Różne oficjalne dane nie bardzo korespondują ze sobą, są zmieniające, a nierzadko nie rozgłaszane.

Mając to na uwadze, obraz za 10-letni okres, lat 1990-1999, przy danych szacunkowych za ostatni rok, przedstawiał się mniej więcej następująco:

- produkcja rolna **nie wzrosła** w tym okresie, a nie jest wykluczone, że niekorzystne trendy cenowe i w produkcji zwierzęcej w 1999 r., przy wspomnianym już spadku produkcji rolnej, zarówno roślinnej jak i hodowlanej, mogą w efekcie dać nawet **spadek** produkcji rolnictwa w tym okresie (może nawet rzędu 7 procent);

- PKB, produkt krajowy brutto, według wstępnych danych za 1999 r., wzrósł w dekadzie o ok. 16 procent, czyli wzrastał w stosunku rocznym średnio tylko o 1,5 procent, tempo wzrostu w granicach błędu;

- produkcja przemysłowa wzrosła odpowiednio jedynie o ok. 6 procent, a więc średniorocznie o 0,6 procent, rezultat odrabiania "dołka" z lat 1990-

1991, kiedy to spadła prawie o 40 procent;

Oczywiście, głębokie zmiany systemowe, jak również zmiany w zewnętrznych powiązaniach gospodarczych, w związku z rozpadem RWPG, , były czynnikami **komplikującymi** wzrost, ale czy musiały spowodować aż tak bardzo *głęboki* spadek produkcji na ich początku, a następnie "odbicie od dna" uczynić *slabszym* od spodziewanego?

W przypadku zaś rolnictwa, czy reforma musiała uderzyć go **bardziej** w dłuższym okresie czasu niż pozostałe gałęzie gospodarki? Przecież był to sektor prywatny, który powinien **najwięcej** skorzystać na reformie rynkowej!

W ogóle zaś, zastosowanie niemal wyłącznie instrumentów fiskalno-monetarnych w reformie systemu, który **nigdy** nie był nimi kierowany, było *nieporozumieniem* od początku do końca. Co najwyżej, instrumenty takie mogły być przydatne do działań antyinflacyjnych, ale **nie** reform systemowych! "Polski Erhard", jak nazywano Balcerowicza (zakładając jego autorstwo reformy), chciał powtórzyć operację swojego niemieckiego odpowiednika, zapominając o *różnicach* systemowych. "Terapia szokowa" Ludwiga Erharda z czerwca 1948 r. z marką zachodnioniemiecką istotnie była udana, dając wzrost produkcji w ciągu miesiąca o 50 procent, ale były to dwie różne reformy w dwóch różnych gospodarkach!

Ignorancja z improwizacją prześcigiwały się więc nawzajem i jeśli gospodarka przeżyła "terapię szokową", to tylko dlatego, że **nie ma** takiej gospodarki na świecie, gdzie produkcja spada *na trwałe* do zera, czyli *przestaje* istnieć, chyba że padnie ofiarą nuklearnej dewastacji. W każdym innych warunkach, po jakimś czasie, każda gospodarka, po gwałtownym wstrząsie, odzyskuje stan względnej równowagi, a nawet dźwiga się samoczynnie do góry, żłobiąc sobie *nowe* koleiny wzrostu (wyjątek stanowić może tylko gospodarka *niedorozwinięta*, a taką gospodarką polska **nigdy** nie była). Problemem może być *na jakim* "poziomie dna" nastąpi odbicie i *w jakim* tempie będzie się po nim wznosić.

"Terapia szokowa" dokonała natomiast jednego "wielkiego dzieła", czego **nigdy** nie odważyłyby się dokonać władze PRL, likwidując olbrzymi "nawis inflacyjny" odziedziczony z przeszłości (czasowo go zresztą jeszcze powiększając), wymiotając ludziom ich ciułane oszczędności oraz deprecjonując posiadane przez nich waluty wymienne.

Nade wszystko zaś, jednym ruchem *zaczisnęła* ludziom pasa na co najmniej 4 z 10 dziurek...

Spadek produkcji zaistniały na początku reformy, co prawda, odrobiono później, aczkolwiek nie wszędzie i w niedostatecznym stopniu, ale liczy się rezultat końcowy, którym była prawie **stagnacja** rozwojowa Polski w latach

1990-ch.

Przeprowadzone zmiany **nie stworzyły** równocześnie, co ważniejsze, godnego uwagi polskiego kapitału prywatnego. Polski kapitalizm buduje się więc **bez** polskiego kapitału. W rezultacie tego Polska **traci** suwerenność gospodarczą na rzecz kapitału obcego, który już opanował albo opanowuje *kluczowe* pozycje w produkcji i usługach. W połączeniu z nadal *olbrzymim* zadłużeniem zewnętrznym, sięgającym 45 miliardów dolarów, jak też *zwichniętą* równowagą w bilansie handlowym, gdzie import niemal 2-krotnie przewyższa eksport, a wreszcie z załamaniem się polskiej myśli naukowo-technicznej, sytuacja jest tym bardziej niepokojąca.

Najgorsze jednak, że efektem końcowym tego stanu rzeczy jest **niesterowalność** gospodarki, wobec czego nie są w stanie nią kierować ani władze krajowe ani tym bardziej społeczeństwo ani nawet krajowy biznes, prywatny i państwowy.

Czy była inna alternatywa? Może jej nawet nie było i Polska **nie uciekła** przed zamianą socjalizmu na gospodarkę rynkową, która, jak to pokazuje przykład Chin, niekoniecznie musi oznaczać "czysty" kapitalizm, nie mówiąc już o tym, że transformacji ich gospodarki *nie towarzyszył* spadek produkcji. Możliwe więc, że gdyby Polska była Chinami, krajem wielkim i rządzącym się suwerennie, nie skłóconym wewnątrz, to może mogłaby pójść na "*komutalizm*", mieszankę komunizmu z kapitalizmem, dającą dobre wyniki.

Polska więc, porywając się na "terapię szokową", ani **niczego** nie rozwiązała z dawniejszych wyzwań gospodarczych ani z tych stojących przed nią. Wątpliwe zaś sukcesy, które odcinkowo osiągnęła, mogą być łatwo zmiecione podmuchem *spekulacji* międzynarodowej, która zbyt głęboko przeniknęła do jej gospodarki. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że podobnie jak za Gierka, w kołach kierowniczych panuje arogancja i bez troska, uprawia się stępiającą czujność "*propagandę sukcesu*" zamiast bić na alarm! Chwalby z Zachodu, sypiące się pod adresem Polski, do złudzenia przypominają sypane ongiś Japonii, w które uwierzyła, opuściła gardę, a dziś od 10-ciu już lat nie może wyrwać się z kryzysowej sytuacji, choć stać ją na to, gdyż do swojej dyspozycji posiada olbrzymie zasoby kapitałowe, nowoczesną technologię oraz wysoko kwalifikowane kadry, nie tak jak Polska, która jest ich niemal pozbawiona.

Przechodząc teraz od spraw ogólnej natury do odcinkowych, a mianowicie problemów *rolnictwa* w transformacji systemowej, aż dziw bierze jak długo **nie** nie robiono na tym odcinku, albo zbyt mało, zbyt późno i w sposób niespójny, świadczący o ignorancji i improwizacji "reformatorów".

W reformie, chyba ze ślepej wiary w "niewidzialną rękę rynku", nawet **nie chciano** słyszeć o polityce rolnej. W Europie Zachodniej, kolebce tej "ręki", z różnym natężeniem od lat 1870-ch, w poszczególnych jej krajach *zawsze* istniała polityka rolna. W skali regionalnej, w Unii Europejskiej, już niemal od 40 lat istnieje Wspólna Polityka Rolna, czyli "widzialna łapa", która zdecydowanie **ogranicza** działanie "niewidzialnej ręki rynku", nie przejmując się co wolnorynkowi ideolodzy myślą sobie o tym.

W Europie Zachodniej, obliczając wszystkie bezpośrednie i pośrednie programy wspierania rolnictwa przez państwo, dokłada się do niego ok. 150 miliardów dol. rocznie, podczas gdy w USA ok. 100 miliardów dolarów.

W postpeerelowskiej Polsce natomiast, całymi latami **nie było** godnej uwagi polityki rolnej. Pierwsze jej oznaki zaczęły rodzić się jeszcze w 1990 r., wraz z powołaniem do życia Rady Rozwoju Wsi przy Radzie Ministrów. Inną oznaką zaś, było przedstawienie 29 października 1990 r., przez ministra rolnictwa na Radzie Ministrów, "Programu Polityki Rolnej". W rzeczywistości jednak, niewiele się działo. Dopiero od kwietnia 1998 r., od przyjęcia przez rząd "Średniookresowej Strategii Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich", coś zaczyna się dziać na tym odcinku. "Strategię" trudno nazwać "polityką rolną", skoro sama **unik**a tej nazwy, ale na bezrybiu i rak ryba! .

"Strategia", bardzo możliwe, jest *pierwszym krokiem* w kierunku polityki rolnej i stąd godna jest uwagi.

Ciekawe więc co mówi na ten temat "Informacja o Sytuacji Polskiej Wsi ze Szczególnym Uwzględnieniem Rolnictwa" z 17 lutego 1999 r., 18-stronicowy dokument przygotowany przez Ministerstwo Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej" dla Rady Ministrów (która wraz z Sejmem dokument przyjęła).

We Wstępie dokumentu czytamy:

*"Okres dostosowania się rolnictwa do gospodarki rynkowej jest - zgodnie z przewidywaniami zarysowanymi w Średniookresowej Strategii Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich - procesem długotrwałym. Mimo niewątpliwie pozytywnych zmian jakie zachodzą w niektórych dziedzinach produkcji rolnej i przetwórstwa rolno-spożywczego, w dalszym ciągu nie można zaliczyć tego sektora gospodarki narodowej do wydajnych ani efektywnych... Czas poszukiwania odpowiedniego dla rolnictwa miejsca w gospodarce narodowej nie może trwać w nieskończoność... Rozwiązywanie problemów wsi możliwe jest **tylko** w warunkach szybkiego, nieprzerwanego rozwoju całej gospodarki"* (podkreślenie moje; Z.R.).

"Informacja" **nie pozostawia** więc wątpliwości, że rynkowa transformacja rolnictwa, dziś *prywatnego* niemal w całości, a nie socjalistycznego, prze-

ciągnie się w nieokreśloną przyszłość. Finał jej zaś zależy - jak to słusznie zauważa - od szybkiego i ciągłego rozwoju **całej** gospodarki.

Bagatela! A *co* będzie w przypadku **braku** takiego rozwoju?

Tego "Informacja" już nie wspomina, a o ile wiadomo, nie wspominają o tym żadne inne podobnego rodzaju dokumenty. Zaczęto więc transformację rolnictwa, podobnie jak całej gospodarki, aby po 10-ciu latach powiedzieć, że właściwie **nie wiadomo** co się z nią dzieje.

Z innych źródeł wiadomo, że realizacja "Strategii" powinna pochłoniąć sumę 20,5 mld. zł w 2000 r., czyli równą 3 procentom PKB, produktu krajowego brutto wobec ok. 16 mld. zł, wydatkowanych w 1999 r. z budżetu.

Czy tak będzie - pokaże najbliższa przyszłość.

Tymczasem bowiem, sprawy wydają się biec w **przeciwnym** kierunku.

Tak na przykład, tzw. rozwojowa pomoc dla rolnictwa (nie mylić z osłoną socjalną), świadczona przez państwo, ma **spaść** z ok. 2,9 mld. zł w 1998 r. do niecałych 2,4 mld. zł w 1999 r. Udział tej pomocy w PKB spadłby więc odpowiednio z 0,54 proc. do 0,39 proc. (w krajach Unii Europejskiej udział takiej pomocy waha się w granicach 1,1-1,6 proc.).

Równocześnie wpływy do budżetu z tytułu obciążenia wsi w 1999 r. mają wynieść prawie 3 mld. zł (1,5 mld. zł z VAT, 850 mln. zł z podatku rolnego oraz 630 mln. zł z akcyzy na paliwo).

"Pomoc rozwojowa" państwa dla rolnictwa jest więc o ok. 600 mln. zł **mniejsza** od sum ściąganych z niego! Jak ta sytuacja ma zmienić się drastycznie na lepsze już w 2000 r. - zobaczymy (projekt budżetu na 2000 r., w chwili pisania tych słów nie zatwierdzony przez Sejm, zakłada istotnie wzrost "pomocy rozwojowej" dla rolnictwa o nieco ponad 46 procent).

W ogóle zaś, to trudno połapać się *co* naprawdę władze robią na tym odcinku, gdyż aktualnie, na papierze przynajmniej, w kraju działają aż 3 programy rządowe, a mianowicie:

- wspomniana już powyżej "Średniookresowa strategia", przyjęta przez rząd 21 kwietnia 1998 r.;

- "Spójna polityka strukturalna rozwoju obszarów wiejskich i rolnictwa", przyjęta 13 lipca 1999 r. przez Radę Ministrów;

- "Pakt dla rolnictwa i obszarów wiejskich", uchwalony również przez Radę Ministrów 22 lipca 1999 r.

"Pakt" został następnie rozwinięty decyzją Rady Ministrów z 3 listopada tegoż roku w "Harmonogram działań", składający się z 34 "inicjatyw", ujętych w 3 "filary".

Dla "przetłumaczenia" Harmonogramu na program praktycznych działań powołano 5 "zespołów roboczych", które dopiero powiedzą *co i jak* należy

robić.

Czy w tej sytuacji przysłowiowa góra urodzi mysz czy przeciwnie, a w rezultacie tego coś istotnie mądrego wyjdzie tych różnych pomysłów - pokaże przyszłość. Żeby tylko nie było tak, że biurokracja i różni konsultanci pochłoną masę pieniędzy, a o chłopie *nikt* nie będzie pamiętał...

We wspomnianej powyżej "Informacji" - powtarzając to jeszcze raz - na szczególną uwagę zasługuje **uwarunkowanie** transformacji rolnictwa transformacją *całej* gospodarki.

Otóż właśnie, puszczenie bowiem na "wolne wody" rolnictwa w dokonywanej transformacji systemowej bardzo szybko pokazało, że **nie może** być ono żadną "Zosią-Samosią" i że pozostawienie go bez "*widzialnej państwowej łapy*", która powstrzymywałaby "*niewidzialną rękę rynku*" w sięganiu do chłopskich kieszeni, jest w swoich skutkach niemożliwe.

W jaki sposób będzie się teraz łączyć sprawy rolnictwa z resztą gospodarki, w sposób ciągły, a **nie** awaryjny, jak to zaczęto robić na początku reformy, przyjdzie jeszcze zobaczyć. W przeszłości robiono to w sposób tak ignorancki i improwizowany, że teraz *niełatwo* będzie coś zmienić.

Warto więc przypomnieć jak z tym było po starcie transformacji systemowej.

C. "Bomba zegarowa".

Nagle zainteresowanie władz sytuacją w rolnictwie, a raczej nastrojami społeczno-politycznymi Wsi, spowodowane zostało nasilającymi się protestami chłopskimi latem 1990 r., poczynając od blokady dróg pod Mławą, a na okupacji Ministerstwa Rolnictwa kończąc. Gwałtowne wystąpienia chłopów, towarzyszące tym protestom, policja musiała łamać siłą. Do tego czasu **nikt** nie zwracał uwagi na rosnące niezadowolenie z "szokowej terapii", aż dopiero chłopci wyrwali władze z błogiego samouspokojenia, będąc *pierwszymi* wśród głównych warstw społecznych, którzy zaczęli gniewnie reagować na skutki "terapii szokowej". W 1991 r. zaczęli nawet *samoorganizować się* w Związek Zawodowy Rolnictwa "Samoobrona", wychodząc z żądaniami:

- gwarantowanych cen minimalnych na swoje produkty;
- niskooprecentowanych kredytów;
- ochrony celnej przed napływem taniej żywności.

Ostatnie żądanie było reakcją na politykę rządu, który dla powstrzymania cen żywności, wtedy zresztą rosnących już wolniej od cen artykułów przemysłowych, zaczął sprowadzać w *zwiększonych* ilościach żywność z zagranicy. Importowana żywność, subsydiowana przez obce rządy, wystawiała pol-

skie rolnictwo na *nieuczciwą* konkurencję i stąd protest chłopski był w pełni uzasadniony. Pod naciskiem żądań rząd podniósł obciążenie celne importowanej żywności ze średniego poziomu 14 procent do 40 procent.

Władze, jak zawsze dotąd improwizując i wpadając w panikę, zaczęły raptem podejmować różne przeciwdziałania, które zneutralizowałyby szczególnie dotkliwe dla rolnictwa skutki "terapii".

Efektom tego były co najmniej 2 *dalekosiężne* decyzje, zdecydowanie **sprzeczne** z duchem "wolnorynkowych reform".

Pierwszą, poprzedzającą jeszcze powstanie ZZR"S", o której Balcerowicz z jakichś powodów początkowo *nigdy* nie wspominał, a dziś uważa ją za błąd, choć "nie pamięta jak z nią było", była decyzja **najważniejsza** dla rolnictwa nie tylko w 1990 r., ale w *całym* okresie lat 1990-ch. Chodzi mianowicie o *utworzenie* KRUS, Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Kto faktycznie był pomysłodawcą tej decyzji nie bardzo wiadomo, ale liczy się jej efekt końcowy.

Formalnie, krok ten *nie był* niczym nowym w historii rolnictwa w powojennej Polsce, gdyż jeszcze za Gierka, o czym już wspomniano w innym miejscu, objęto w 1972 r. rolników indywidualnych ubezpieczeniami zdrowotnymi, a w 1978 r. objęto ich kolejnym, szerszym zakresem świadczeń, z prawem do rent i emerytur włącznie, w zamian za przekazywanie ziemi do PFZ oraz regularne wpłacanie składek na ten cel.

KRUS "przyćmił" jednakże tamte decyzje swoją skalą i skutkami.

Jak dalece sięgała ignorancja "reformatorów" i jak potem improwizacja zemściła się na pomysłodawcach utworzenia KRUS, okazało się dopiero po latach. W 1990 r. bowiem, składki na KRUS płaciło 2,3 mln. rolników, podczas gdy z rent i emerytur korzystało jedynie 1,5 mln. Ale już w 4 lata później, proporcje te *odwróciły się* diametralnie, gdyż obowiązek płacenia składek spadł do 1,6 mln. rolników, podczas gdy ilość pobierających emerytury i renty wzrosła do 2 mln., utrzymując się na zbliżonym poziomie do dnia dzisiejszego, ale z perspektywą na rozwieranie się nożyc na rzecz rosnącej ilości pobierających emerytury i renty. W pierwotnym założeniu, składki miały tworzyć 30 procent funduszu KRUS, ale w ciągu 4 lat spadły do 8 procent, wobec czego 92 procent funduszu *musiał* pokryć budżet państwa (obecnie 94 procent; dla porównania - w Niemczech i Francji podobne dopłaty są w 80 procentach pokrywane z budżetu).

Co więcej, składki KRUS zostały tak ustalone, że w efekcie zaczęły być, w związku z ich częściowym i nieterminowym wpłacaniem, średnio aż 7-krotnie *niższe* od składek ubezpieczeniowych, które wpłacała ludność nierolnicza. A ponieważ już po 4 latach działania KRUS okazało się, że dokony-

wane przezeń wypłaty dla gospodarstw do 3 hektarów stały się **głównym** źródłem dochodu, a dla 3-7-hektarowych *drugim* po dochodach z gospodarstwa. Łącznie więc, dla ok. 70 procent gospodarstw indywidualnych wypłaty z KRUS stały się *podstawowym* lub *prawie* podstawowym źródłem dochodu.

Nagłaśnianie tych faktów w środkach masowego przekazu, co gorsza, wywołało wrażenie, że Miasto **finansuje** Wieś! Pogląd ten tym bardziej utwierdził się w przeważającej części opinii publicznej, że w 1995 r. podatek dochodowy płacony przez ludność miejską, 2/3 narodu, wynosił ok. 225 ówczesnych bilionów złotych, podczas gdy przez ludność wiejską tylko ok. 2,5 bln. złotych (chłopi, poza nielicznymi wyjątkami - należy dodać - zwolnieni są z podatku dochodowego). Opinię miejską zaczęło też irytować, że przepływ środków z budżetu na wieś dokonywany jest w *niesprawiedliwy* sposób, gdyż pod beneficjentów KRUS zaczęli się podszywać ludzie tylko nominalnie związani z rolnictwem. KRUS objął bowiem nie tylko rolników, ale także *wszystkich* domowników gospodarstwa. Krytykę wywołała ponadto *równa* składka dla wszystkich rolników, 1-hektarowych i 100-hektarowych (zapowiedziano jej zróżnicowanie).

Głosy, że "*Miasto finansuje Wieś*", stawały się coraz częstsze w latach następnych. Zaczęto bowiem mówić, że statystyczny rolnik otrzymuje na czysto z budżetu centralnego 3,5 tys. zł rocznie, że 40 procent sumy ściąganej z kieszeni miejskiego podatnika idzie na utrzymanie wsi, a nie państwa i że sumy wydatkowane na wieś z budżetu w ponad 3/4 są charakteru socjalnego, a **nie** rozwojowego.

Z upływem czasu, KRUS stał się *istotnie* problemem dla budżetu. W 1999 r. był on **największą** pojedynczą jego pozycją po stronie wydatków, mającą przekroczyć 13 mld. złotych. Na sumę ok. 16 mld. zł, świadczonych przez państwo rocznie na rzecz rolnictwa, jest to rzeczywiście *olbrzymia* suma, która ponadto może budzić różne refleksje odnośnie **celowości** takiej właśnie formy wspierania rolnictwa.

Dla większości gospodarstw rolnych z drugiej strony, miesięczny przekaz w wysokości ok. 525 złotych (wszystkie świadczenia budżetu na beneficjenta wynoszą ok. 600 zł) stał się jednakże, jeśli już nie deską ratunku przed stoczeniem się w nędzę, na wsi zawsze dotkliwszą niż w mieście, to przynajmniej odczuwalnym **podniesieniem** ich dochodów (należy zaznaczyć, że średnia emerytura pracownicza jest o ok. 240 zł wyższa od chłopskiej).

Ocena KRUS **nie jest** sprawą prostą. Z humanitarnego punktu widzenia, osłona socjalna tej części ludności, a zwłaszcza wiejskiej, która na transformacji systemowej wyszła przegrana, była **konieczna** ponad wszelką wątpliwość.

Ale też, z czysto ekonomicznego, a raczej *wolnorynkowego* punktu widzenia, osłona taka była nie tylko **zaprzeczeniem** sensu samej reformy w krótkim okresie czasu, ale nade wszystko w długim. Teoretycznie przynajmniej, stworzyła dla karłowatych gospodarstw **możliwość** trwania. Inna rzecz, że **nikt** nie wie *jak* zlikwidować takie karłowate gospodarstwa w warunkach wysokiego bezrobocia w kraju.

Drugą decyzją, podobnej natury jak w przypadku KRUS, angażującej państwo w regulowanie działania rynku, było powołanie w lipcu 1990 r. ARR, państwowej Agencji Rynku Rolnego, której zadaniem miał być interwencyjny skup niektórych artykułów rolnych powyżej cen rynkowych.

Była ona i jest kolejnym powodem do "złej krwi" pomiędzy Miastem a Wsią, gdyż Agencję zaczęto oskarżać o śrubowanie w *górze* cen żywności. ARR wywołała też masę niezadowolenia wśród samych rolników, krytykujących ją za opieszałą działalność, a nade wszystko za zbyt niskie ceny skupu. Agencja broniła się zaś argumentem, że zbyt mało pieniędzy dostaje z budżetu na swoją działalność. W 1991 r. na przykład, domagała się co najmniej 4,5 bln. złotych, a dostała niecałe 2 biliony (w 1998 r. dostała 324 mln. zł., czyli nominalnie 3,2 bln. starych zł, a w 1999 r. miała dostać *o połowę* mniej).

Niezależnie od tych dwóch decyzji, podjęto jeszcze inne albo honorowano dawniejsze, które w sumie dają dopływ z budżetu do rolnictwa ok. 16 mld. zł (są to różne "adresowane" dotacje, dopłaty do składek do kas chorych, do kredytów preferencyjnych itp.).

Finansowanie wsi przez państwo, albo raczej podatnika, rzeczywiście jest więc "na oko" *bezsprzecznym* faktem.

Z drugiej strony jednakże, jeśli *nie liczyć* wypłat z KRUS, które są właściwie *osłoną socjalną* niezamożnych grup społeczeństwa, pomoc taka **nie istnieje** faktycznie. Odejmując bowiem świadczenia Wsi na rzecz budżetu od jego wypłat na jej rzecz, nie otrzymuje ona **żadnego** dofinansowywania z kasy państwowej.

Przeciwnie, czego już żadne statystki nie ujmują, Wieś dofinansowuje Miasto relatywnie **tańszą** od wyrobów przemysłowych żywnością, aczkolwiek trudno powiedzieć w *jakiej* skali.

Pogląd zaś, że przy liberalizacji importu tańszej od krajowej żywności jej ceny byłyby *niższe* dla konsumenta - jest **nieporozumieniem** od początku do końca!

Przede wszystkim, nikt dotąd nie powiedział *za co* mianoby sprowadzać obcą żywność, kiedy to globalny eksport polski jest prawie 2 razy *niższy* od importu.

Nie to jest jednak najważniejsze, a fakt, że prowadzona transformacja

systemowa, zwłaszcza w rolnictwie, doprowadziła do **mieszanych** skutków.

Z jednej strony, transformacja poszła istotnie w "wolnorynkowym" kierunku, demontując istniejący dawniej socjalizm, ale z drugiej strony poszła w "socjalistycznym", w przypadku Wsi *bardziej* nawet niż za czasów PRL. Kontynuowanie, a nawet wzmacnianie polityki *państwa opiekuńczego* bowiem, rozwiązanie **konieczne** w zaistniałych po 1989 r. warunkach, postawiło sens dokonywanej transformacji systemowej pod znakiem zapytania. Jaki będzie tego efekt końcowy - jeszcze nie wiadomo. Polska bowiem, na średnim poziomie rozwoju, ma relatywnie *wyższe* obciążenie PKB, w chwili obecnej ponad 1/5, świadczeniami emerytalnymi, wśród których jest także KRUS. Tak wysokiego obciążenia budżet **nie wytrzyma** na dłuższą metę, jeśli stopa inwestycji, dla przyspieszenia tempa wzrostu, zostanie podwyższona. Odebranie zaś społeczeństwu czegokolwiek, jak na przykład chłopom KRUS, jest **niemożliwe** bez poważnych reperkusji. A tymczasem podłożona przed laty "socjalna bomba zegarowa" tyka...

2. W obliczu wyzwań.

Polska na początku lat 1990-ch, bez względu na to jaki miałyby system polityczny i społeczno-gospodarczy, musiała stanąć w obliczu *nieznanych* dotąd wyzwań, wywołanych nową fazą rewolucji naukowo-technicznej i tzw. globalizowaniem się gospodarki światowej.

Wyzwaniom tym, opierając się na doświadczeniach krajów gospodarczo rozwiniętych, ma w Polsce podołać gospodarka rynkowa, której *nieodzownym* wymogiem, "dowodem tożsamości", jest sektor prywatny. Reformy gospodarcze w Polsce, zgodnie z tym wymogiem, bez względu już na to *jak* przeprowadzane, poszły zatem w kierunku *rozbudowy* tego sektora (istniał on już w PRL, co prawda, ale jako czasowe dziedzictwo przeszłości, a nie nadzieja na przyszłość). W efekcie tego, sektor prywatny daje dziś pracę 2/3 ogółu zatrudnionych, a wraz z "szarą strefą" jeszcze więcej.

Udział sektora prywatnego w produkcji krajowej natomiast, sięga *jedynie* 50 procent. Polski system gospodarczy jest więc *mieszanką* kapitalistycznego i socjalistycznego. Dopiero w 2005 r., kiedy to sektor prywatny osiągnie zakładane 90 proc. udziału w produkcji krajowej, kapitalizm stanie w Polsce, jeśli coś temu nie przeszkodzi, na *solidnych* podstawach.

Czy do tego dojdzie - tego **nikt** nie wie. Polska *nie ma* bowiem szczęścia do gospodarki. Przez 45 lat budowała socjalizm i budowla zawałała się na długo *przed* zawieszeniem na niej wiechy. Może do kapitalizmu będzie miała

więcej szczęścia, ale kto może to zaręczyć? Republika Czeska, która była o wiele bardziej zaawansowana w budowie kapitalizmu niż Polska, dziś tkwi w kryzysie i nawet już nie mówi, że rozpoczęła budowę dokończy.

Nie spekulując co będzie dalej, przed polskim "nowo-starym" systemem, przed gospodarką, stoją *tak czy owak* liczne wyzwania, z którymi trzeba będzie jakoś się uporać.

A. Wyzwania wewnętrzne.

Wśród wielu wyzwań wewnętrznych, w obliczu których stoi gospodarka polska, a w tym rolnictwo, co najmniej dwa zasługują na szczególną uwagę.

Pierwszym jest stworzenie, zgodnie z zarysami "II planu Balcerowicza", 3 mln. *nowych* miejsc pracy do 2010 r., choć ekpenci twierdzą, że dla likwidacji bezrobocia i wchłonięcia nowych roczników, wchodzących w wiek produkcyjny, trzeba co najmniej 4 milionów takich miejsc. Stworzyć ma je **wyłącznie** sektor prywatny, a więc *jakiś* udział w tym musi mieć także rolnictwo indywidualne, dziś w ponad 90 procentach będące w rękach prywatnych.

Jak wielki może to być udział w ofercie nowych miejsc pracy? Maksymalny wariant balcerowiczowego przyrostu produkcji przewiduje roczne tempo rozwoju w wysokości 7-8 procent, podczas gdy minimalny 3-4 procent.

Rolnictwo, które w latach 1990-ch **nie miało** przyrostu produkcji, a nawet zanotowało jej spadek, stoi więc przed *skomplikowanym* wyzwaniem. O tym, żeby miało roczny przyrost produkcji rzędu 7-8 procent, należy bowiem zapomnieć. Skoro rolnictwo cierpiało na *stagnację* w ciągu minionego dziesięciolecia, to **skąd** pewność, że w obecnym będzie inaczej?

Dla rolnictwa, jego "*być albo nie być*", roczne tempo przyrostu produkcji powinno wahać się w granicach 3-4 procent, gdyż inaczej jego zaledwie 5-procentowy udział w produkcji krajowej będzie **nadal** niebezpiecznie obniżał się, spychając go na margines gospodarki. Nie byłoby to żadną tragedią, gdyby jednocześnie pozostałe gałęzie gospodarki rozwijały się dynamicznie, ale przecież tak nie jest!

Drugim wyzwaniem jest maksymalne **zrównanie** poziomu życia na Wsi i w Mieście, nie przez obniżenie go w tym ostatnim, ale *zwiększenie* w tej pierwszej. Jak wielkie są istniejące tutaj różnice jest kwestią sporu, ale na ogół podaje się, że jest to różnica rzędu 10-20 procent, choć słyszy się też pogląd, że rzędu 40-60 procent. Jeśli ten drugi odpowiadałby prawdzie, to niwelacja omawianej różnicy staje się tym bardziej zadaniem palącym.

Zamknięcie "luki rozwojowej", jeśli tylko jest tego wola, wymaga podjęcia szeregu wysiłków i to w **wielu** dziedzinach naraz. Pląga rolnictwa, jeśli

za jego zadanie główne, zgodne z koncepcjami "II planu Balcerowicza", uznać likwidację bezrobocia, jest właśnie jego *otwarte i ukryte* bezrobocie, sięgające 1,7-2,0 mln., przy 4-ch milionach aktualnie pracujących w tym sektorze.

O likwidacji tego "nawisu wolnych rąk" przy 3-4 procentowym tempie rozwoju gospodarczego **nie można** poważnie mówić. W 1999 r., przy 4,1-procentowym tempie przyrostu PKB, produkcji krajowej brutto, istniejące bezrobocie w kraju *zwiększyło się* zamiast zmniejszyć. Przy jeszcze niższym tempie rozwoju bezrobocie, w tym także na wsi, nie tylko nie spadnie, ale wzrośnie. Może być wreszcie i tak, jak to jest obecnie, że w nierolniczych gałęziach gospodarki produkcja będzie jako tako wzrastać, podczas gdy rolnicza spadać.

Problemem Nr. 1 jest więc **przyśpieszenie** tempa wzrostu gospodarczego Polski, co w istniejących warunkach wewnętrznych i zewnętrznych jest *wysoce* trudnym zadaniem.

Czego trzeba dokonać, żeby takie przyśpieszenie stało się realne?

Otóż, jeszcze u schyłku PRL, w opinii ekspertów *niezbędne minimum* opłacalności produkcji rolniczej, bez której przyśpieszenie nie miałooby sensu, wymagało:

- średniorocznych zbiorów 4 zbóż z 1 hektara w wysokości 35 kwintali;
- ziemniaków 250 kw. z 1 ha;
- buraków cukrowych 400 kw. z 1 ha;
- średniorocznego udoju mleka od 1 krowy 4.000 litrów.

Postulowany poziom, w związku z powiększeniem się ilości mieszkańców Polski w międzyczasie, jak też postępowaniem produkcji rolnej u jej zachodnich sąsiadów, należałoby dziś podwyższyć, ale pozostaliśmy przy nim.

Czy takie *minimum* leży w granicach możliwości polskiego rolnictwa?

Jak najbardziej! Z cytowanych już powyżej cyfr i faktów wynika, że jeszcze w PRL "ocierano się" nierzadko o takie minimum lub co najmniej planowano jego osiągnięcie. W wielu ówczesnych indywidualnych gospodarstwach, jak też niektórych uspołecznionych, osiągnano po 80 kwintali pszenicy z 1 hektara, a roczny udoj mleka od 1 krowy dochodził do 8.000 litrów.

Były też województwa, jak opolskie, gdzie w 1988 r. zebrano z 1 hektara 37,9 kwintali "jednostek zbożowych", a w gospodarstwach uspołecznionych nawet 43,8 kwintali. Bardzo bliskie poziomowi 35 kwintali było też województwo szczecińskie z 34,4 kwintalami i poznańskie, z 34,3 kwintalami.

Eksperti PRL nie proponowali więc celów nieosiągalnych, gdyż odcinkowo były one nie tylko osiągalne, ale nawet przekraczane. Problem polegał tylko na tym, żeby odcinkowe wyniki **przekuć** w ogólnokrajowe.

Od peerelowskich czasów zmieniło się wiele w rolnictwie, nie na lepsze, niestety, a więc tamte postulaty **nie uległy** dezaktualizacji.

Zbiory 4 zbóż w 1999 r. na przykład, według wstępnych danych, wyniosły 29,5 kwintali z hektara, wobec przeciętnej 28,1 kwintali za okres 1993-1997 oraz 30,5 kwintali w 1998 r. Droga do postulowanych 35 kwintali z hektara jest więc **ciagle** daleka. Wyjątkiem, podobnie jak w 1988 r., było województwo opolskie, gdzie zbiory pszenicy przekroczyły 47 kwintali z hektara, ale w podkarpackim wyniosły jedynie 29,6 kw.

Nadal też zbyt **niski** jest udoj mleka od 1 krowy, ok. 3,2 tys. litrów rocznie.

Jest jednak wysoce prawdopodobne, że przy poziomie zużycia nawozów sztucznych na 1 hektar ze szczytowych lat PRL (dziś jest on średnio o *połowę* niższy), przy zasiewach bardziej wysokoplennym ziarnem i w warunkach większej opłacalności produkcji dla rolników, przeciętne zbiory 4 zbóż z 1 hektara byłyby **osiągnięte** już w połowie lat 1990-ch.

Problemem głównym pozostaje więc **podniesienie** wydajności w rolnictwie. Nie jest to żadne odkrycie, a jedynie oczywiste stwierdzenie faktu.

Obecnie, przy nieograniczonych możliwościach zakupu środków produkcji, w PRL naogół niedostępnych w wolnej sprzedaży, jak też obfitości rąk do pracy, wzrost wydajności rolnictwa zależy **tylko** od zwiększenia jego opłacalności. Wysoce niepokojący jest bowiem fakt, że olbrzymia większość chłopów uważa za **nieopłacalne** produkowanie czegokolwiek. Nie opłaca się produkcja roślinna, warzywniczo-ogrodnicza i hodowlana!

Z drugiej strony, pomijając szczególnie przypadek gospodarstw warzywniczo-owocowych, gdzie średni ich areal może być niewielki, panuje pogląd, że im większe gospodarstwo tym *większa* jego rentowność.

Pozostawiając chwilowo na uboczu *zasadność* takiego poglądu, zagadnieniu temu należy poświęcić chwilę uwagi.

Rolnicy, aktualnie stanowiący 27 procent zatrudnionych w Polsce, mają do dyspozycji ok. 1,9-2,0 mln. gospodarstw (nie licząc 0,8-0,9 mln. działkowiczów), co jego przeciętną wielkość plasuje w granicach 7 hektarów. Gospodarstwa wiejskie, niestety, są jednakże niezwykle rozproszone, licząc 24,5 mln. działek, co w rezultacie powoduje, że przeciętne gospodarstwo składa się aż z 12 kawałków, nierzadko oddalonych od siebie o kilometry. Powierzchnia działek waha się w granicach 0,2-0,3 hektara, a wiele gospodarstw składa się nawet ze 150 działek. Pilnej komasacji wymaga 2-3,5 mln. hektarów, ale przy obecnym jej tempie może ona potrwać do 175 lat...

Najważniejsze jednak, że z powyższej ilości gospodarstw tylko ok. 235 tys., ok. 6-8 procent, utrzymuje się **wyłącznie** z produkcji rolniczej. Następn-

ne ok. 625 tys. gospodarstw jest tzw. dwudochodowych, ale z **podstawowym** źródłem dochodu z produkcji rolniczej.

W Polsce, w efekcie tego, tylko ok. 850 tys. gospodarstw jest o "rynkowym profilu" w tym czy innym stopniu, podczas gdy ok. 1,2 mln. pozostałych jedynie w niewielkim stopniu (ok. 1/5 gospodarstw nie produkuje na rynek w ogóle).

Wyrażając się jeszcze ściślej, tzw. *gospodarstwa wysokotowarowe*, z arealem powyżej 50 ha, aż w 95 procentach produkują na rynek. Nie te gospodarstwa są jednakże decydujące w polskim rolnictwie, ale *średnie*, o areale 10-50 ha, zajmujące 45 procent użytków rolnych i w 90-95 procentach przeznaczające swoją produkcję na rynek (w 1996 r. ich roczna sprzedaż wahała się w granicach 5-25 tys. zł).

I wreszcie, naliczniejsza grupa gospodarstw, zwanych *socjalnymi*, nie produkuje na rynek w ogóle lub tylko okresowo i niewiele.

Przeciętnie, gospodarstwa najbardziej opłacalne, zaczynają się dopiero **powyżej** 15 ha (stanowią niecałe 9 procent, ale użytkują nieco powyżej 1/3 gruntów). Ilość tych gospodarstw wzrasta, co prawda, ale jeszcze szybciej wzrastają gospodarstwa karłowate, o areale 1-2 ha, na które przypada już prawie 1/4 ilości gospodarstw wiejskich.

W tej "szachownicy gospodarstw" pole możliwości wzrostu produkcji jest więc **ograniczone** co najwyżej do 1/3 ich ogólnej ilości, a tak naprawdę tylko do ok. 10-15 procent.

Jak wielkie są różnice w przeciętnej wydajności pracy w zależności od wielkości gospodarstwa niech świadczy fakt, że w gospodarstwie o areale 500-1.000 ha jest ona **44-krotnie** większa od wydajności w 2-3-hektarowym!

W ok. 70 procent gospodarstw wiejskich zatem, szanse na radykalną poprawę ich opłacalności są **żadne** lub prawie żadne, a 500 tys. gospodarstw grozi rychłą likwidacja.

Czy w przypadku tej ostatniej kategorii gospodarstw można oczekiwać radykalnej poprawy?

Nie bardzo. Z gospodarstw o areale 1-2 hektarów tylko **5 procent** ich właścicieli widzi jakieś szanse ich rozwoju, pod warunkiem jednakże wsparcia ich z zewnątrz.

W skali krajowej zaś, tylko 1/6 gospodarstw widzi szanse swojego rozwoju, a jedynie co 1/5 stać na jakieś inwestycje własne.

Za tym przeciętnymi kryją się, oczywiście, liczne sytuacje odcinkowe, które w górę lub w dół odbiegają od ogólnego obrazu sytuacji, ale w sumie wyjątki te nie zmieniają dość niepokojącego wniosku, że sytuacja jest **dramatyczna** na odcinku gospodarstw indywidualnych.

Dramatyzm sytuacji dotyczy **nie tylko** gospodarstw małych i średnich, ale także wielkich.

Tak na przykład, jak to wynika z artykułu Józefa Tymca, opublikowanego w dzienniku "Rzeczpospolita" z 7 stycznia 2000 r., pod tytułem "Ledwo ziemię", również wielkie gospodarstwa są *na krawędzi* bankructwa! Tymiec, właściciel *ponad 900-hektarowego* gospodarstwa, zatrudniający ok. 20 pracowników, szczegółowo wylicza, że dosłownie **nic** nie opłaca mu się produkować! A gospodarstwo ma wydajne, jak rzadko które w Unii Europejskiej. Pszenicy z hektara zbiera 55 kwintali, buraków cukrowych 450 kwintali, podczas gdy roczny udój mleka od 1 krowy przekracza 7.000 litrów.

I jeśli tak wydajne i wielkie gospodarstwo przynosi straty właścicielowi, to *jakie inne* może przynosić zyski? Tymiec za istniejącą sytuację obwinia *zalew* krajowego rynku subsydiowanym importem żywności z Unii Europejskiej, której niskie ceny nie są rezultatem wyższej wydajności jej rolnictwa, ale stosowania sowitych dopłat do eksportu, co jest *absolutną* prawdą.

W świetle tego rodzaju dowodów rzeczowych, sprawa podniesienia *je-dynie* wydajności polskiego rolnictwa, dziś niemal wyłącznie indywidualnych gospodarstw, w efekcie **niewiele** rozwiązuje. Skoro bowiem wielkie gospodarstwa, jak cytowane powyżej, z wydajnością prawie *2-krotnie* wyższą od średniej krajowej, są **nieopłacalne** w aktualnie istniejącej sytuacji rynkowej, to co mówić o pozostałych? Czy wobec tego istnieje *w ogóle* sens podnoszenia wydajności rolnictwa polskiego, zadanie kosztowne i długotrwałe, w **nie-sprzyjającej** sytuacji rynkowej?. A przecież na tym daleko nie koniec. Stawianie rolnictwa "na nogi" wymaga *nie tylko* podnoszenia wydajności z hektara, ale przede wszystkim pilnego **znalezienia** pracy dla *co najmniej* 1,7-2,0 milionów mieszkańców obszarów wiejskich, a w przyszłości nawet więcej.

Gdzie ją znaleźć? W mieście, gdzie w ostatnim 10-leciu **nie było** praktycznie, poza niektórymi lokalnymi wyjątkami, przyrostu zatrudnienia? Cały przyrost, mikroskopijny zresztą, jest dziś już **tylko** na wsi. A skąd wiesz ma wziąć pieniądze na tworzenie nowych stanowisk pracy, skoro w ostatnich latach **zubożała** i nadal ubożeje, szczególnie od 1996 r., od kiedy opłacalność produkcji rolniczej zaczęła *szybko* spadać?

Nie bez znaczenia w tej niepomyślnej sytuacji jest ponadto fakt, że udział rolnictwa w produkcji krajowej, wynoszący dziś niecałe 5 procent, wobec prawie 13 procent w 1989 r., powoduje *kolejne* komplikacje. Rolnictwo/Wieś bowiem mają *slabnącą* siłę przebicia w gospodarce i polityce krajowej. Uważane za *kłopotliwy* margines mogą zamiast koniecznej im pomocy spotykać się z niechęcią wydzwignięcia ich na wyższy poziom i to pomimo zapewnień o czymś przeciwnym.

Zmarginalizowanie "rolnictwa i obszarów wiejskich", używając stosowanej terminologii, jest zresztą wynikiem głównie *zmian* w obliczaniu produkcji krajowej po 1989 r., przez dodanie do niej szeregu tzw. usług nieprodukcyjnych. Wraz ze *spadkiem* produkcji rolniczej w tym okresie (tylko w 1999 r. spadła o 6 procent), jak również ukształtowaniem się *niekorzystnych* dla niej relacji cenowych, stała się ona "kopciuszkiem" na tle innych gałęzi gospodarki. Aktualnie plasuje się już nie tylko daleko w tyle za przemysłem, co zresztą nie byłoby złym objawem w *normalnej* gospodarce, ale jest ponad 2-krotnie mniejsza od produkcji takich nowych gałęzi w gospodarce jak "Handel i naprawy" czy mniejszą od takiej jak "Obsługa nieruchomości i firm", w obu wypadkach typowo "miejskich" gałęzi.

Tak więc, zajmując "kopciuszkową pozycję" w gospodarce, możliwości *samorozwojowe* rolnictwa zostały **drastycznie** zredukowane. Wiekami *finansujące* rozwój pozostałych gałęzi gospodarki, rolnictwo dziś jest **za słabe** na samofinansowanie swojego rozwoju i wymaga wsparcia ze strony pozostałych gałęzi gospodarki. Jest to tym bardziej pilne zadanie, że do takiego wsparcia **zmuszają** wyzwania zewnętrzne. Istnieje bowiem *realna* groźba, że w razie jego nie uzyskania, polskie "rolnictwo i obszary wiejskie" czeka **zagłada** ze strony Unii Europejskiej i "zglobalizowanej" gospodarki światowej.

B. Wyzwania zewnętrzne.

O ile stawienie czoła wyzwaniom wewnętrznym, sprowadzającym się do podniesienia wydajności rolnictwa, zapewnienia opłacalności gospodarstwa indywidualnego oraz znalezienia zatrudnienia dla otwartego i ukrytego bezrobocia na wsi jest autentyczną *kwadraturą koła*, to jeszcze **gorzej** mają się sprawy ze stawieniem czoła wyzwaniom zewnętrznym.

Wśród wielu należy wymienić co najmniej dwa:

- *zlikwidowanie* ujemnego salda w obrotach artykułami rolno-spożywczymi, które według wstępnych danych za 1999 r. może wynieść 700-800 milionów dolarów (w 1993 r., największe saldo ujemne tych obrotów w latach 1990-ch, wyniosło 1,3 mld. dol.);

- *przygotowanie* rolnictwa do rygorów Unii Europejskiej, jeśli Polska ma istotnie zostać jej członkiem.

Oba wyzwania wymagają zmobilizowania *wszystkich* sił kraju do ich wykonania, pomocy *zewnętrznej* oraz *czasu*, co najmniej jednego pokolenia.

W *pierwszym* przypadku, likwidacja ujemnego salda w obrotach handlowych artykułami rolno-spożywczymi powinna polegać na *wzroście* ich eksportu, a **nie** spadku importu. Spadek importu bowiem, zwłaszcza z krajów

Unii Europejskiej, mógłby spotkać się z jej *odwetem* w postaci zamknięcia Polsce drogi do jej członkostwa.

Z drugiej strony, w przypadku dalszego zwiększania importu rolno-spożywczego z krajów Unii Europejskiej, rolnictwo polskie pozostanie **nadal** pod jego *niszczycielską* presją. Naiwna jest bowiem wiara, że unijna presja jedynie "podciągnie" je na wyższy poziom. Bardziej prawdopodobne jest, że raczej je przedtem zadusi...

Znalezienie wyjścia z tej wysoce złożonej sytuacji **nie jest** łatwe, jeśli w ogóle możliwe.

Najpewniejszym wyjściem jest więc *ekspansja* polskiego eksportu rolno-spożywczego, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić. Handel światowy żywnością jest *nienormalnym* handlem. Eksport, zwłaszcza produktów strefy umiarkowanej, do której należy także Polska, jest wspierany wszelkiego rodzaju jawnymi i niejawnymi *subsydiami* rządowymi, w rezultacie czego ceny światowe tych produktów kształtują się **poniżej** kosztów produkcji. Na luksus takiego eksportu stać *jedynie* kraje bogate, do których Polska nie zalicza się.

Ponadto, tradycyjnymi rynkami zbytu na polski eksport rolno-spożywczy są zachodnie kraje rozwinięte, które na różne sposoby *ograniczają* dostęp dla obcego eksportu, w tym z Polski. Skutek tego jest zaś taki, że według wstępnych danych, deficyt w obrotach Polski z Unią w obrotach artykułami rolno-spożywczymi wyniósł ok. 800 mln. dolarów w 1999 r. Likwidacja tego deficytu czy choćby jego drastyczne zmniejszenie, z powodów już powyżej podanych, ma *małe* szanse powodzenia.

Ratunkiem dla polskiego eksportu rolno-spożywczego stały się w tej sytuacji kraje b. ZSRR, zwłaszcza Rosja, które w 1997 r. awansowały nawet do miana **głównego** dla tych artykułów rynku zbytu (szczególnie obiecującym rynkiem była Rosja, która aż 1/4 konsumowanej żywności sprowadza z zagranicy).

Od sierpnia 1998 r., niestety, od kryzysu walutowego w Rosji, polskie możliwości eksportowe na ten rynek uległy *gwałtownej* redukcji, o prawie 60 procent, podczas gdy *wzrosły* Unii Europejskiej. Podważając subsydiowanie swojego eksportu rolnego do Rosji (do 1 tony sprzedawanej wieprzowiny dopłaca ponad 400 dol., jabłek 40 dol., a żyta ok. 65 dol.), Unia na tym rynku wręcz znakautowała Polskę, która *nie dopłaca* do swojego eksportu rolno-spożywczego.

Unia, co więcej, wymuszając na Polsce zniesienie bezwizowego wjazdu na jej terytorium obywateli z krajów Wspólnoty Niepodległych Państw, załamała praktycznie jej *przygraniczny* handel z nimi, stanowiący ok. 1/4 wpły-

wów dewizowych z tego kierunku (w przypadku Ukrainy nawet 1/2).

Możliwości wzrostu polskiego eksportu rolno-spożywczego *zawęziły się* więc ostatnio i jak dotąd **nie** wskazuje na to, że na odcinku tym nastąpi zasadnicza poprawa. A jeśli nawet, to *olbrzymim* kosztem.

Sprawa jest więc poważna. Eksport rolno-spożywczy jest **konieczny** dla poprawy opłacalności polskiego rolnictwa, tradycyjnie produkującego nadmiar niektórych artykułów, których rynek wewnętrzny **nie jest** w stanie wchłoniąć. Eksport ten powinien też być *ważnym* wsparciem dla globalnego eksportu Polski, który jest dziś prawdziwą piętą Achillea jej gospodarki. O tym, żeby stanowił ponad 40 procent globalnego eksportu i żeby dwukrotnie przekraczał odpowiedni import, jak to było przed 1939 r., czy choćby tylko 13 procent, ale o niemal 40 procent przewyższający analogiczny import, należy zapomnieć. Już bowiem w 1988 r., ostatnim roku istnienia PRL, sytuacja w obrotach artykułami rolno-spożywczymi była niekorzystna. Więcej ich importowano niż eksportowano, a eksport ich spadł poniżej 1/10 globalnego wywozu.

I tak właściwie *pozostało* do dnia dzisiejszego. Sytuacja jest więc *alarmująca* i wymaga *szybkiej* poprawy. Polski bowiem **nie stać** na deficyt w obrotach handlowych żywnością. Ambicją gospodarki powinno być wygospodarowanie **nadwyżki** w omawianych obrotach, a ponadto należy zrobić wszystko co możliwe, żeby udział artykułów rolno-spożywczych w globalnym eksporcie **nie spadł** poniżej 10 procent.

W drugim przypadku sytuacja jest bardziej skomplikowana.

Niemal 39-milionowa Polska, ustępująca aż ponad 60-krotnie w potencjale ekonomicznym 375-milionowej Unii Europejskiej, a w produkcji na głowę mieszkańca średnio 6-krotnie, chce do niej dołączyć i to już z dniem 1 stycznia 2003 r.

Nie spekulując *na ile* jest to możliwe, gdyż negocjacje o warunki członkostwa są dopiero w fazie początkowej, Polska niewątpliwie wystawia się na próby, w tym szczególnie jej rolnictwo, których skutków **nie sposób** przewidzieć.

Unia Europejska bowiem, pod różnymi nazwami, istnieje już od ponad 40 lat i działa w oparciu o ustalone "reguły gry", których **nie zmieni** dla Polski. Tym bardziej, że nie zaprasza Polski do swojego grona, a tylko co najwyżej "łaskawie" odpowiada na wpraszenie się przez nią do grona.

Najbardziej skomplikowaną sprawą w wytargowaniu od Unii jakichś korzyści z zostania jej członkiem, bez czego gra **nie jest** warta przysłowiowej świeczki, są dla Polski problemy rolne i wolnego przepływu siły roboczej.

Ograniczając się jedynie do tych pierwszych należy zaznaczyć, że rolnictwo jest "oczkiem w głowie" Unii, choć w jej gospodarce odgrywa marginalną rolę. Produkcja rolna ma udział jedynie 1,7 procent w globalnej produkcji, co jest relatywnie prawie 3-krotnie mniej niż w Polsce. W ogólnym zatrudnieniu z kolei, rolnictwo stanowi tylko 5,1 procent, odpowiednio 5,5-krotnie mniej niż w Polsce. Unia w tej sytuacji, zamiast machnąć ręką na swoje rolnictwo, hołubi je szczególnie. Subsydia państwowe mają w Unii udział 42 procent w wartości produkowanej żywności, czyli relatywnie są co najmniej 2-krotnie *wyższe* niż w Polsce, a uwzględniając ukryte, zapewne jeszcze wyższe.

Przeciętna powierzchnia gospodarstwa rolnego w Unii wynosi 18 hektarów, czyli jest niemal 3-krotnie większa niż w Polsce, ale jego wydajność jest średnio 10-krotnie wyższa od polskiego. Oczywiście, za przeciętnymi kryją się wyjątki, jak w gminie Dziwnów w województwie szczecińskim, gdzie przeciętne 221-hektarowe gospodarstwo jest 12-krotnie większe od unijnego, ale już w gminie Chelmek w województwie bielskim 1,6-hektarowe gospodarstwo jest odpowiednio 11-krotnie mniejsze.

Lista różnic dzielących oba rolnictwa jest więc bardzo długa i ogólnie wysoce **niekorzystna** dla polskiego. Wyrównanie tych różnic jest **niemożliwe** w krótkim czasie, nawet z unijną pomocą. Bez takiej pomocy zaś, jest absolutnie **wykluczone** w przewidywalnej przyszłości.

Problem członkostwa w Unii sprowadza się więc głównie, choć nie wyłącznie, do **przebudowy** polskiego rolnictwa, zgodnie ze stawianymi przez nią wymogami. Unia bowiem, a **nie** Polska, dyktuje tutaj warunki.

W rezultacie tego, kwestią zasadniczą jest **koszt** tej przebudowy. W koszcie tym z kolei, decydująca jest **pomoc** Unii oraz **czasokres** trwania procesu przystosowawczego polskiego rolnictwa do stawianych przez nią wymogów.

Odnosnie ewentualnej tzw. pomocy transformacyjnej, to w lipcu 1997 r. Unia Europejska obiecała wstępnie ok. 28 miliardów dolarów dla Polski w ciągu nadchodzących 7 lat.

Z obietnic tych jednakże, jak dotąd *niewiele* wychodzi. Podczas tzw. szczytu berlińskiego Unii, odbytego w marcu 1999 r., w jej budżecie na okres 2000-2006 nie przewidziano **żadnych** sum na ten cel.

Polska zaś, 14 października 1999 r., obiecała Unii, że uzyskując przyrzeczoną wstępnie pomoc, dokona "błyskawicznie" *przebudowy* swojego rolnictwa (rok wcześniej zapewniała nawet, że w ciągu 10 lat zredukuje udział zatrudnienia w rolnictwie z 27 do 5 procent krajowego zatrudnienia, a więc w tempie **niespotykanym** dotąd w świecie).

"Polskie obietniczki" zasługują w tej sytuacji na *oddzielną* uwagę, gdyż

poza ogólnikami były dotąd bardzo mało konkretne, w szczegółach utajnione, a odnośnie przyjętej linii postępowania wręcz podejrzane.

I oto, rząd polski ujawnił 24 listopada 1999 r., że dla "podciągnięcia" swojego rolnictwa do najbardziej elementarnych wymogów stawianych przez Unię, bez czego jej członkostwo z dniem 1 stycznia 2003 r. jest wykluczone, gotów jest wyłożyć w ciągu 3 najbliższych lat, czyli w okresie 2000-2002, prawie 26 miliardów złotych. Tak wielki wydatek Polska *warunkuje* jednakże uzyskaniem od Unii przyrzeczenia, że z dniem zostania jej członkiem, czyli od 2003 r. poczynając, jak to sobie wyobraża, otrzymywałaby rocznie z unijnej kasy, z tytułu tzw. pomocy bezpośredniej w ramach unijnej Wspólnej Polityki Rolnej oraz tzw. pomocy strukturalnej, obejmującej niedorozwinięte gospodarczo regiony, ok. 21,5 mld. złotych rocznie.

Unia nie zareagowała jeszcze oficjalnie na polską ofertę, ale z wcześniejszych jej reakcji wynika, że pomoc byłaby **wielokrotnie** mniejsza, odsunięta w czasie (w kuluarach Unii datę polskiego członkostwa przesuwają się na 2006 r.) oraz objęłaby *wyłącznie* gospodarstwa duże. Pomoc unijna ponadto, byłaby naogół uwarunkowana tzw. współfinansowaniem czyli wspieraniem *polskimi* wydatkami z budżetu i innymi źródłami na wzajemnie uzgodnione cele.

Jaki ostatecznie będzie wynik końcowy, zarysowujących się obecnie ustaleń wzajemnych jak i rozbieżności, pokażą dopiero zbliżające się negocjacje polsko-unijne w sprawach rolnych, które rozpoczną się wiosną 2000 r. i potrwają, w najlepszym przypadku, do końca 2001 r.

Kontroferta Unii i jej końcowy kształt pozostaną więc *nieznane* przez najbliższe prawie dwa lata, jeśli nie dłużej. Ostatnio, co prawda, z Unii słychać wstępne propozycje na temat tzw. funduszy pomocowych dla Polski, ale konkretnych porozumień w tej sprawie jeszcze nie podpisano.

Odnosnie tych funduszy, to chodzi tutaj o pomoc w ramach unijnych programów PHARE, SAPARD i ISPA.

Z PHARE, programu działającego od 1990 r., początkowo obejmującego jedynie Polskę i Węgry, a dziś rozszerzonego te na pozostałe kraje Europy Środkowej i Wschodniej, obejmującego wiele różnych dziedzin gospodarki rolnej oraz leśnej, Polska uzyskała w ciągu 10-lecia nieco ponad 2 mld. dol., ale efektywnie wykorzystwała mniej niż 3/4 przyznanych sum. W 2000 r. może uzyskać dalsze ok. 400 mln. dol. (ze swojej kieszeni musi jednakże wyłożyć *nie mniejszą* sumę). Może, ale nie musi, gdyż administrowanie programem jest zbiurokratyzowane, po obu stronach, a przyrzeczone fundusze napływają z bardzo dużym opóźnieniem.

Program SAPARD z kolei, dopiero utworzony i przeznaczony na tzw.

zmiany strukturalne oraz otoczenie rolnictwa, według wstępnych przyrzeczeń może wynieść dla Polski w 2000 r. ok. 170 mln. dolarów (jeśli w ogóle).

I wreszcie, program ISPA, przeznaczony na ochronę środowiska naturalnego oraz transport, jest jeszcze "lesie" i nie wiadomo ile w jego ramach Polska może dostać. W najlepszym przypadku ponad 300 mln. dol., a w najgorszym nic.

Sumy te, właściwie "zastępcze", gdyż te spodziewane przez Polskę są na razie nieosiągalne, jeśli w ogóle, wyglądają nawet na znaczne, ale tak naprawdę **nie rekompensują** strat, jakie Polska *już* ponosi bezpośrednio i pośrednio dzięki destrukcyjnej działalności Unii, a o czym już wspomniano częściowo powyżej.

Co więc wyjdzie z pomocy Unii dla Polski przyjdzie jeszcze zobaczyć, a tymczasem *ujawniła się* jej oferta, co ona ze swej strony gotowa jest zrobić byle tylko spełnić kryteria członkowskie. Czy taka szczerość Polsce pomoże jest raczej wątpliwe, gdyż **nie jest** absolutnie jasne *skąd* weźmie ona aż tak olbrzymią sumę w latach 2000-2002 (co prawda, sumę zaczęto wkrótce obniżać do niecałych 14 mld. złotych). Natomiast mówi się, że już w 2000 r. z przewidzianej sumy ma być wydatkowane 5,13 mld. złotych, ale tylko 966 mln. złotych ma pochodzić z budżetu. Resztę mają pokryć głównie *sami* chłopcy, przede wszystkim producenci mleka oraz mięsa, przemysł rolno-przetwórczy i pośrednio konsumenci żywności, która ma podrożeć w tym czasie średnio o ok. 7 procent. W 2001 r. suma dotacji z budżetu ma być niemal podwojona, do ok. 10 mld. złotych, z czego na budżet przypadnie tylko nieco ponad 1,5 mld. złotych. W 2002 r. dotacje mają już przekroczyć 11 mld. złotych, z czego na budżet przypadnie prawie 1,9 mld. złotych (jeśli tylko skończy się na ok. 26 mld. złotych, gdyż zadośćuczynienie wymogom Unii może wymagać 30 mld. złotych, albo jeszcze więcej).

Polska zatem, nie wchodząc już na ile jej oferta jest realna, zamierza *awanssem* wyłożyć ogromną sumę pieniędzy dla sprostania wymogom unijnego członkostwa, pokładając jednocześnie nadzieję, że po jego uzyskaniu "odbije" sobie wydatek z nawiazką.

Rządowa propozycja, "księżycowa" w swojej naturze, spotkała się z *niedowierzaniem* Unii, a w kraju z *zaniepokojeniem* chłopów. "Podciąganie" rolnictwa bowiem, głównie jego *własnym* kosztem, w sytuacji jego pustej kieszeni, jak też *braku* perspektyw zwrotu poniesionych wydatków, zwiastuje **trudne** negocjacje na linii Warszawa-Bruksela.

Jaki będzie tego efekt - pokaże dopiero przyszłość. Polski, należy to podkreślić z naciskiem, absolutnie **nie stać** na samodzielne przystosowanie swojego rolnictwa do wymogów Unii. Poniesienie zaś kosztów tego przysto-

sowania jedynie z *własnej kieszeni*, w warunkach **niepewności** stania się członkiem Unii, rzecz *absolutnie* możliwa, jest dla Polski ogromnym ryzykiem. Unia z kolei obawia się, że jej ewentualna partycypacja w tych kosztach może być **ponad** jej siły, gdyż danie czegokolwiek Polsce zachęci pozostałe 11 krajów (bez Turcji), pukających do jej drzwi, o *podobne* ich potraktowanie. Nie należy zapominać, że od 14 lutego 2000 r., Unia negocjuje z kandydatami do jej szeregów, którzy łącznie liczą ok. 160 mln. ludzi i zaspokojenie ich wszystkich żądań i postulatów nie jest w tej sytuacji dla niej prostą sprawą.

Jak więc ostatecznie omawiane sprawy zostaną rozwiązane - tego **nikt** nie wie.

O tym zaś, żeby budżet centralny obciążyć kosztami przebudowy rolnictwa w stopniu większym od przewidywanego - należy zapomnieć. Deficyt budżetu w 2000 r., głównie ze względu na dodatkowe zasilanie kasy ZUS, Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, będzie *większy* co najmniej o 2,7 miliardów złotych niż to początkowo przewidywano, a dalszy jego wzrost jest **wykluczony** i to nie tylko z przyczyn podobnych do powyższej. W przypadku pogorszenia się koniunktury, perspektywa wysoce prawdopodobna, wpływy do budżetu spadną, a jego wydatki wzrosną. Mniejsze też mogą być wpływy z przewidywanych operacji prywatyzacyjnych.

Sprawa jest więc *wysoce skomplikowana* i nie tylko do Unii Europejskiej należy mieć pretensje za ten stan rzeczy. Polskiej stronie należy wytknąć, że do negocjacji z Unią przystąpiła **bez** wizji przebudowy nie tylko rolnictwa, ale całej gospodarki. Sądzono naiwnie, że Unia, za sam fakt wyrażenia chęci przystąpienia do niej Polski, sypnie jej obficie groszem, a potem, jakoś tam będzie....

Unia, niestety, co wynika między innymi z wypowiedzi 20 października 1999 r. jej Komisarza ds. Rolnych, Franza Fischlera, chce właśnie **odwrócić** porządek rzeczy, wymuszając na Polsce *najpierw* kroki transformacyjne rolnictwa, a *potem* dopiero dając jej w nagrodę jakieś bliżej niepewne grosze.

Na rolnictwie, co gorsza, sprawy nie kończą się. W myśl porozumienia z 16 grudnia 1991 r., Polska musi wykonać szereg zobowiązań, podjętych wobec Unii, w dziedzinie liberalizacji importu wyrobów przemysłowych z dniem 1 stycznia 2000 r., co grozi **załamaniem się** niektórych jej przemysłów, głównie hutniczego.

Jak w tej sytuacji Polska będzie w stanie wygospodarować dodatkowe środki na przebudowę swojego rolnictwa? Zwłaszcza, że do powyższych dochodzą jeszcze żądania Unii usunięcia szkód w środowisku naturalnym Polski, co może kosztować ją *dziesiątki miliardów* dolarów.

I wreszcie, o czym Unia *nie mówi* otwarcie, a co można wyczytać mię-

dzy wierszami, to wrażenie, iż Polski **nie potrzebuje** do swojego szczęścia, a już zapewne nie za pieniądze swojego podatnika.

Jeśli tak mają się sprawy, to czy aby Polska nie pośpieszyła się z aplikacją o członkostwo w Unii, a ponadto czy jest ono w ogóle możliwe i korzystne dla jej interesów? Rygory unijne, niezwykle drańskie w aktualnym stanie polskiego rolnictwa, mogą bowiem okazać się **ponad** polskie siły, nawet w warunkach uzyskania obiecanej pomocy. Pomoc taka zresztą, byłaby uwarunkowana *własnymi* wysiłkami Polski na odcinku przebudowy rolnictwa, na co jednakże może po prostu **nie mieć** środków. Bez pomocy z zewnątrz zaś, nie ma już w ogóle sensu mówić o czymkolwiek, a wszelkie połowiczne rozwiązania do **niczego** nie prowadzą.

Tak więc, bez uzyskania obiecanej wstępnie przez Unię pomocy, Polska **nie powinna** starać się o jej członkostwo. A jeśli ją dostanie, to też powinna wszystko dokładnie przemyśleć i podliczyć. Z góry członkostwa tego **nie powinna** kupować w żadnym wypadku. Pieniądze wyda, a Unia udowodni jej jeszcze, że to ciągle za mało! Jak się chce psa uderzyć, to zawsze przecież przysłowiowy kij się znajdzie...

Przykład? Ano, na 420 polskich mleczarni Unia uznała *tylko* 13 jako mogących sprostać jej wymogom sanitarnym. I kto może zaręczyć, że nawet po kosztownej ich modernizacji Unia czegoś znów się nie doszuka?

I co, Polska będzie się kłócić z Unią? Musi przecież liczyć się z faktem, że 2/3 jej obrotów handlowych z zagranicą przypada na Unię Europejską, z czego średnio połowa na Niemcy, dziś głównego jej partnera handlowego. Unia jest też głównym inwestorem kapitału w Polsce, wierzycielem oraz dostawcą techniki i technologii.

Polska ma więc zbyt wiele żywotnie ważnych powiązań z Unią, bez których byłoby jej trudno normalnie funkcjonować.

"Drażnienie" w tej sytuacji Unii czymkolwiek, może mieć dla Polski **fatalne** skutki. Tym bardziej, że **gdzie** ma szukać alternatywnych powiązań gospodarczych? W USA, Rosji, Chinach, czy jeszcze gdzieś indziej? A może zaskarży Unię do WTO, Światowej Organizacji Handlowej?

Polska *nigdzie* z nią nie wygra, a *wszędzie* przegra.

Władzom **nie wolno** więc ukrywać prawdy przed narodem! Obowiązkiem ich jest rzetelne powiedzenie mu, że członkostwo Polski w Unii jest *ogromnie* kosztowne, a korzyści *co najmniej* niepewne, nie mówiąc już o tym, że może ono w ogóle okazać się nierealne. Ale gdyby nawet było realne, to co najmniej 1,5 mln. gospodarstw chłopskich będzie wystawionych na *przyszłą* likwidację. Ponadto, nastąpi duża, może nawet 50-tysięczna, utrata miejsc pracy w przemyśle mięsnym i mleczarskim. W przyszłości ilość

nowych miejsc pracy na wsi ma podobno wzrosnąć o ok. 240 tys., ale jeśli tak nie będzie, to *co* wtedy? Kanarek pozostanie na dachu, a wróbel wyrwie się tymczasem z garści...

Reasumując, wewnętrzne i zewnętrzne wyzwania stojące przed Polską, w tym przed jej rolnictwem, są *prawdziwym* węzłem gordyjskim.

Kiedy i jak nastąpi jego przecięcie - pozostaje *nadal* wielkim znakiem zapytania.

3. O "Polską drogę" w rozwoju kraju.

A. Rządy Narodu Polskiego - nie planu i kapitału.

Nonsensem jest twierdzenie, że istnieją "prawa rozwoju", ekonomia polityczna kapitalizmu oraz ekonomia socjalizmu i wszelkie inne "teorie wzrostu", obowiązujące *po wsze* czasy. Wszystko na świecie jest "zjawiskiem historycznym", przemijającym i *nic* nie jest doskonałe.

Heinrich Hertz, XIX-wieczny fizyk niemiecki, sformułował teorię, którą w tłumaczeniu na zjawiska społeczno-gospodarcze i polityczne możnaby ująć, że "białe tworzy czarne i odwrotnie, wiedza niewiedzę, a rozważa nierozważę". Jeszcze bardziej dosadnie możnaby prawo ująć, że "dobrymi chęciami jest piekło brukowane", że "chcesz z przyjaciela zrobić sobie wroga zacznij mu pomagać" itd., itp.

Innymi słowy, rozmiłowanie się zamiarów z ich skutkami jest stare jak świat i tylko jest nieszczęściem ludzkości, że bez przerwy daje się nabierać na wszelkiego rodzaju teorie i ideologie, które jakoby są "ostateczną i jedyną doskonałością", po których już nic nie może nastąpić. Marksizm-leninizm zapewniał, że jest "absolutną wiedzą" w absolutnie każdej dziedzinie, po wieki wieków amen. Mimo to, jakoś nie mógł objąć nigdy więcej jak 1/3 ludzkości, sam będąc rozdzierany po drodze "rewizjonizmem", "dogmatyzmem" i masą innych "odchyleń".

Dziś marksizm-leninizm jest już historią, "wolny rynek" przeżywa drugą młodość. Formalnie, objął on więcej ludzkości niż kiedykolwiek udało się to marksizmowi-leninizmowi, ale tak naprawdę, to *nie więcej* niż 1/5, kraje gospodarczo rozwinięte, a i tam osiągnięto to tylko dzięki państwu, które w chwilach potrzeby ratowało go z opresji. Może będzie musiało to robić jeszcze raz, jeśli wybuchnie jakiś nowy "wielki kryzys", perspektywa wysoce prawdopodobna, tylko że tym razem już z *niewiadomym* skutkiem. "Casino

economy", "kasynowa gospodarka", jak Juan Somavia, przewodniczący Międzynarodowej Organizacji Pracy nazywa opartą o "grę giełdową" współczesną gospodarkę rynkową, nie jest przecież wieczna.

Tymczasem zaś, "wolny rynek" stał się **globalnym** rynkiem, oplatającym większość globu ziemskiego, z plejadą ok. 60 tys. TNC's, "transnarodowych korporacji", z 0,5 milionem filii, które nim rządzą jak chcą, jako że żadnego *światowego* rządu nie ma, a różne wielostronne organizacje, jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz Światowa Organizacja Handlu, są faktycznie na ich usługach. Interwencjonizm państwa, zwłaszcza mniejszego, może więc w tej sytuacji okazać się bezskuteczny. Tym bardziej, że tak naprawdę, to *globalną gospodarką światową* rządzi tylko ok. 100 transnarodowych-gigantów amerykańskich, zachodnioeuropejskich i japońskich, powiązanych często między sobą i ze spekulacją międzynarodową. Polaków wśród nich nie ma i nie będzie. Jeden tylko Bill Gates, amerykański właściciel Microsoft, z fortuną osobistą 95 mld. dol., ma jej bez mała tyle, co ponad pół Polski...

"Układ smarowania" tych transkorporacyjnych rządów, stanowią jeszcze bardziej gigantyczne *transnarodowe banki* i *domy bankowe*, splecione z wielkimi spekulantami międzynarodowymi, nad którymi **nikt** nie ma kontroli, gdyż z reguły nie przyznają się nawet do swojego istnienia (premier malezyjski, po wybuchu kryzysu w Azji Południowo-Wschodniej latem 1997 r., o spowodowanie go oskarżył, niemniej jednak, "spekulantów żydowskich"). A jeśli już "przyznają się", to wtedy podają się za filantropów, jak Goerge Soros, który finansuje szkoły kaszubskie w Polsce, ale nie palestyńskie w Izraelu.

Polska, która o tym wszystkim ma co najwyżej słabe pojęcie, a na dodatek nie cieszy się dobrą opinią u tych gigantów, którzy "biznesowo" plasują ją na dalekim 43-cim miejscu, z 59-ciu możliwych, musi więc być ostrożna. Giganty bowiem są bezwzględne, nawet między sobą, jak o tym świadczy przykład Japonii, którą podcięły, nie mówiąc już o "tygrysach dalekowschodnich". Polskę, gdy tylko zechcą, też podetną, jak Czechów, do niedawna ich beniaminka. Jednym kiwnięciem małego palca giganty zrzuciły ich z 6-procentowego wzrostu do 2,5-procentowego spadku produkcji. Bezszelestnie i jeszcze ze wskazaniem na nich jako winowajców.

Polskie doświadczenia z gospodarką wolnorynkową były złe w okresie międzywojennym, tak jak złe były z centralnym planowaniem, obcymi wy myślami.

Skąd wobec tego wiara, że akurat teraz będą dobre z ponownie eksperymentowaną gospodarką wolnorynkową?

Rolnictwo polskie jest **najlepszym** sprawdzianem obcych teorii. Już w II Rzeczypospolitej teorie wolnorynkowe *nijk* nie pasowały do rolnictwa, podobnie jak w PRL teorie marksistowsko-leninowskie *również* do niego nie pasowały, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby "nie polska droga do socjalizmu", która łągodziła różne nonsensy.

Teraz zaś Polacy odrabiają kolejną lekcję, jeszcze raz wolnorynkową, w sposób o wiele bardziej **nieodpowiedzialny** niż w okresie międzywojennym. Wtedy przynajmniej żadne Sachszy, Liptony, instytuty Adama Smitha i licho wie kto jeszcze, nic im nie podpowiadały. Jeśli już coś dyskutowano w rządzie na tematy gospodarcze, to po polsku, a nie po angielsku, jak to czynił Balcerowicz w czasach swojej "terapii szokowej", kiedy to dyskutował w swoim gabinecie z cudzoziemcami...

Polska, jak każdy zresztą kraj, wysokorozwiniętych nie wyłączając, ma swoje *specyficzne* problemy, które **tylko** ona powinna znać i szukać dla nich najbardziej skutecznych rozwiązań.

Co się tyczy rolnictwa, to jest to gałąź gospodarki, która nie pasuje do **żadnych** ze znanych systemów społeczno-gospodarczych i politycznych. Wynika to stąd, że rolnictwo jest instytucją "*wszechformacyjną*", albo "*podnadformacyjną*", istniejącą na przestrzeni **wszystkich** formacji społeczno-ekonomicznych. Jest **najstarszym** sposobem wytwórczości materialnej i **podstawową** dziedziną działalności gospodarczej, produkującą żywność, dobro **absolutnie** niezbędne dla życia człowieka. Można się obejść bez magnetowidu czy telewizora, ale **nie można** bez chleba! Wszystkie inne dziedziny gospodarki są więc **wtórne** wobec rolnictwa.

Rolnictwo jednakże, w stopniu *większym* od każdej innej gałęzi gospodarki, ma swoją lokalną, *narodową specyfikę*, której **nie wolno** lekceważyć!

Specyfika polskiego rolnictwa jest *wyjątkowej* natury. Chłop polski, w chwili powstawania współczesnego Narodu Polskiego, był w niewoli obcej. Mimo to, zachował swoją tożsamość i tradycje narodowe, gdyż będąc członkiem *zamkniętej* w olbrzymim stopniu na wpływy zewnętrzne społeczności wiejskiej, był **mniej** wystawiony na wynarodowienie, internacjonalizm i kosmopolityzm, zasiewane na gruncie miejskim, ale *nie* w jego środowisku. Oczywiście, za swoje zamknięcie płacił odstawianiem od światowej cywilizacji materialnej, ale w zamian za to Naród Polski miał kogoś, kto go *Żywił i Bronił*, na kim mógł się **oprzeć** w chwilach potrzeby.

Czasy jednak zmieniły się i dziś, niestety, chłop nierzadko głoduje, wyżywić narodu nie może, sądząc z *ujemnego* salda obrotów artykułami rolnospożywczyimi z zagranicą, rzecz o tyle dziwna, że podaż produktów jego pracy przewyższa popyt, jak też nie może obronić samego siebie, a co dopiero

mówić o narodzie!

Czyż można coś zrobić, żeby zmienić ten niepokojący stan rzeczy?

Odpowiedź jest prosta - dać Narodowi Polskiemu możliwość **pełnej** swobody działania! Wsłuchiwać się w *jego* głos, a **nie** fascynować się różnymi "zbawczymi pomysłami" obcych pseudonakowców i szarlatanów. Z chłopem należy ustalać więzy pomiędzy Wsią i Miastem, a **nie** niewolniczo przenosić na grunt polski reguły gry międzynarodowych i regionalnych organizacji czy wielkiej finansjery światowej!

Władza autentycznie narodowa **nie powinna** wstydzić się Wsi i zachwycać Miastem. Lenin mógł opowiadać o "idiotyzmie życia wiejskiego", ale czy nie ma "idiotyzmu życia miejskiego"? Dlaczego wielu "mieszczuchów", jak tylko ma na to warunki, ucieka "na prowincję", czy choćby na tereny podmiejskie, żeby być bliżej przyrody i mieć namiastkę wsi? Wieś, na obecnym etapie cywilizacji materialnej, wcale **nie musi** być synonimem zacofania, "zaściankiem świata"! Przeciwnie, wiele nowych, wąsko wyspecjalizowanych zawodów, może pracować **wydajniej** na wsi niż w uciążliwych warunkach miejskich. Hindusi, nierzadko mieszkający w wioskach podmiejskich, nawet nie zelektryfikowanych, gdyż to dla nich taniej, prowadzą na bezprzewodowych komputerach księgowość dla wielu firm zachodnich, a nagrane na dyskietkach wyniki swojej pracy, ich szefowie wysyłają potem via E-mail do odbiorcy.

W mniejszych skupiskach mieszkańców *łatwiej* też o więź międzyludzką oraz sprawniejszy samorząd, który jest **najwyższą** formą władzy ze wszystkich znanych.

Wieś wreszcie, jako zbiorowisko ludzkie, jest **tańsza** w budowie i eksploatacji od miasta. Na wsi można też na większą skalę niż w mieście posługiwać się energią słoneczną, siłą wiatru i wody, rzecz niebagatelna ze względu na środowisko naturalne i perspektywę nowej fali kryzysu energetycznego.

Nie ma więc co robić tragedii z polskiej Wsi. Nie jest ona **żadną** kulą u nogi Miasta, gdyż nie ma ono - powtarzając to jeszcze raz - nogi, tylko szczydło! Argument zaś, że wydajność w rolnictwie polskim jest średnio 2,5-krotnie niższa niż w pozostałych gałęziach gospodarki, nie jest **niczym** nowym w świecie. W bardziej rozwiniętej od Polski Europie Zachodniej jest 4-krotnie niższa. Nie jest też tak, że tylko polski rolnik ma wielokrotnie niższą wydajność od rolnika zachodniego. Robotnik polski ma relatywnie jeszcze niższą wydajność od robotnika zachodniego, co zresztą nie jest jego winą, tak samo jak polskiego chłopca. Winne są temu warunki, w których przychodzi im pracować.

Zamiast więc Wieś polską skazywać na zagładę, na zalesienie, jak to niektórym snuje się po głowach w Brukseli, należy ją dźwignąć do przeciętnego poziomu bytu wysiłkiem **całego** Narodu Polskiego. Wieś jest bowiem polskim *wspólnym* dobrem! Skoro Japonia, z przeciętnym 1,6-hektarowym gospodarstwem rolnym, nie niszczy swojej wsi, hołubiąc ją jako "szkołę pracy" i "podstawowych wartości człowieka", możliwych do ukształtowania się tylko w kontakcie z *żywą przyrodą*, to dlaczego Polska ma robić tragedię ze swoich 4-krotnie większych gospodarstw?

Wieś polska **musi** zatem istnieć. A że za duża? Polska nie musi być Anglią, z 5-procentową ludnością wiejską. Cóż to zresztą za szczęście żyć w 12,5-milionowym Londynie z niektórymi dzielnicami jak w Nairobi, Bombaju czy Hongkongu? Prawdziwa Anglia jest dopiero na prowincji, na wsi.

Niech Polacy nie narzekają więc, że mają Wieś. Niech się z niej cieszą! Przyda im się, jak **zawsze** w historii. Każdy kraj **musi** mieć rolnictwo, jeśli tylko pozwala mu na to klimat, choćby ze względu na *konieczność* dostarczenia swoim mieszkańcom egzogenego białka, którego 40 procent spożywają w mleku i wyrobach mlecznych. Mleko można dziś, oczywiście, dostarczać samolotami, ale przecież **niewyobrażalne** jest, żeby Polska mogła pozwolić sobie na luksus takiego zaopatrzenia! Chodzi zresztą *nie tylko* o mleko, gdyż z warzywami, owocami oraz wieloma innymi uprawami jak i zwierzętami hodowlanymi i drobiem jest podobnie. Nikt przecież w świecie *nie zamierza* zamykać rolnictwa na kłódkę i całe swoje zaopatrzenie opierać o import! A Polska, która w Europie na zachód od Bugu ma wręcz *idealne* warunki rozwoju rolnictwa, gdyż obok Francji posiada **najwięcej** gruntów uprawnych na głowę mieszkańca, ok. 0,5 hektara, ma już najmniej powodów do wyzbywania się swojego rolnictwa. Może ktoś w świecie nawet tego chce, ale do nich **nie mogą** przyłączać się sami Polacy!

Szanujmy więc Wieś. Niech będzie *Polską Twierdzą* **każdy** jej próg! Wielorasowość, wielonarodowość i wielokulturowość niech Polacy zostawiają innym narodom, a sami niech trzymają się między sobą. Są przecież *historycznym narodem* i nie powinni się samolikwidować i rozpuszczać w wielonarodowych czy ponadnarodowych tworach.

B. Zamienić pasywa na aktywa.

Na polskiej Wsi jest wiele do zrobienia. Niezrozumiałe jest, na przykład, że Polska, "kartoflane supermocarstwo", już od setek lat **nie ma** praktycznie ziemiaka konsumpcyjnego, a i pastewny w połowie trzeba odrzucić przed wstawieniem do garnka! Wieś pospołu z Miastem, rolnictwo z przemy-

słem rolno-spożywczym, przechowalnictwem, transportem i siecią handlową, powinny spalić się ze wstydu, że w niektórych asortymentach straty sięgają 1/3-ciej surowca wyjściowego! Na skandal zaś zakrawa podwyżka taryfy za gaz ziemny dla "badylarzy", czego efektem było zamykanie ciepłarni. Nowalijki leciały potem nad Wisłę samolotami z Holandii!

Problemy polskiego rolnictwa nie są proste do rozwiązania. Zresztą, spraw prostych nie rozwiązuje się, one same się rozwiązują.

A w której gałęzi polskiej gospodarki rozwiązania są proste? W przemyśle przetwórczym może? W budownictwie, kolejnictwie, czy górnictwie węglowym?

Kiedyś, w PRL, wszystkie trudne sprawy próbowano rozwiązywać centralnym planowaniem i zarządzaniem. Nie wyszło. Teraz chce się rozwiązać "*niewidzialną ręką rynku*". Też nie wychodzi, choć już częściej sięga się do "*widzialnej łapy państwa*", co też nie bardzo wychodzi. I nic dziwnego, innym to również nie wychodzi, ale nie poddają się i bez przerwy próbują, nie siedząc z założonymi rękoma. W USA, chcąc pomóc doraźnie farmerom, wydano w 1933 r. specjalną ustawę, Agricultural Adjustment Act. Sąd Najwyższy uznał ją za sprzeczną z Konstytucją, ale Kongres uparł się i trwał przy swoim. Ustawa działa do dziś, w poprzek wolnego rynku, rzecz niesłychana w jego królestwie!

I słusznie. Życie jest bardziej skomplikowane od teorii książkowych. Gdyby na nich wzorowali się Amerykanie, to ani jeden nigdy nie zostałby milionerem! "Doskonały wolny rynek" i "doskonała konkurencja" istnieją bowiem wyłącznie w podręcznikach klasycznej ekonomii politycznej. Na prawdę zaś, w ekonomii istnieje **tylko prawo silniejszego, bezwzględniejszego, bardziej przebiegłego i agresywniejszego**, a reszta jest bajką dla "grzecznych dzieci".

Dobrze by więc było, żeby Polacy, ci "wolnorynkowi" zwłaszcza, trochę nauczyli się na przykładach amerykańskiego pragmatyzmu, który w ekonomii ucieleśnia wspomniane powyżej prawo, życiowo liczące się **więcej** od tych wydumanych przez Adama Smitha i Davida Ricardo.

Niewątpliwie, dawanie recept zza Oceanu może brzmieć niezbyt poważnie, ale rady, wskazówki, są zawsze na miejscu, nawet na odległość.

W polskiej i światowej rzeczywistości również rady i wskazówki **nie mogą** być światoburcze. Zwłaszcza że Polska jest *konglomeratem* gospodarki kapitalistycznej i socjalistycznej. Z jednej strony jest już gospodarką rynkową, kapitalizmem, a z drugiej "państwem opiekuńczym", socjalizmem, z 1/5 budżetu przeznaczaną na osłonę socjalną, prawie 2-krotnie relatywnie wyższą częścią niż w Hiszpanii i 10-krotnie niż w Korei Południowej, kra-

jach od Polski wyżej rozwiniętych.

Pole manewru, zwłaszcza w budżecie, jest więc w Polsce minimalne.

Główną radą w tej sytuacji jest zatem konieczność sięgania do rozwiązań **NIEKONWENCJONALNYCH** w myśl zasady, że "potrzeba jest matką wynalazku". Ideologia, jakkolwiek Polacy nie wyznają, dziś wolnorynkowa, musi iść do kąta, jeśli klóci się ze zdrowym rozsądkiem!

Konkretny przykład? Proszę bardzo!

Kryzys w polskim górnictwie węglowym jest znany od lat. Deficyt, brak rynku zbytu i masa problemów socjalnych. Wieś tymczasem nie ma opału. Węgiel gruby, którego potrzebuje, jest dla niej za drogi. Kopalnie bowiem, wskutek przejścia na mechaniczny urobek węgla, uzyskują go tylko w 1/8 z masy wyjeżdżającej na powierzchnię. Ze względu zaś na dużą chodliwość "grubego", wsi sprzedają się go po wyżyłowanej cenie. Rynkowo nikt tego nie może rozwiązać, a planów i nakazów już nie ma. Obłąd! Czyż nie można jakoś porozumieć się z górnikiem, którzy nawet za 50 tys. zł odprawy nie chcą iść na przedwczesną emeryturę, żeby za część tej sumy zechcieli, na ochotnika, wydobywać więcej węgla tradycyjną metodą i po po **niższej** cenie, subsydiowanej przez rząd, sprzedawać? Odcinkowo może to kosztować budżet jakąś sumę, ale w ogólnym rachunku tak **nie musi** być i wszystkie strony wyjdą na tym dobrze!

Albo inny przykład. W Polsce, gdzie konsumpcja wielu podstawowych artykułów żywnościowych jest niższa niż za czasów PRL, występuje trudność ich zbytu. Podaż przewyższa popyt i zmagazynowane nadwyżki skupowanych przez ARR artykułów, ze względu na nieopłacalność ich produkcji, nie tylko rosną, ale i kosztują. Jednocześnie wzrasta niedożywienie wielu grup ludności, przy ogólnym spadku udziału żywności w budżetach rodzinnych. Istne błędne koło!

Przy dużej podaży żywności, przy *potencjalnie* wysokim jeszcze na nią popycie, który nie może przejść w *realny* ze względu na hamulec dochodowy znacznej części jej konsumentów, koło to należy przełamać, zamieniając anomalie w **efektywny** rynek. Niedoskonały, przy niekonwencjonalnym akcie kupna-sprzedaży, ale rynek!

W jaki sposób? Poprzez wprowadzenie "bonów żywnościowych" dla co najmniej 6 milionów Polaków, żyjących w nędzy lub prawie nędzy. W zamian za obniżenie *gotówkowych* wypłat zasiłków, emerytur i rent na przykład, ale jednocześnie ich *podwyższenie* brutto, przez dodanie do nich bonów, można **zwiększyć** popyt na żywność. Będzie to kosztować? Przy dobrze przeprowadzonej operacji **niewiele** albo nic w dłuższym okresie czasu. Podobne rozwiązanie można zastosować w przypadku dotacji dla oświaty i

ochrony zdrowia. Dożywianie dzieci w szkołach i lepsze zaopatrzenie kuchni szpitalnych jest pilną koniecznością i musi być w większej niż dotychczas skali.

W Polsce, w każdym razie, jest jeszcze dużo **nie zaspokojonego** popytu na żywność i trzeba tylko pomyśleć jak w obecnych warunkach nadpodaży żywności zamienić go na *quasi-rynkowy* popyt, zanim stanie się normalnie rynkowym. Przy odrobinie dobrej woli i pomysłowości nawet taki *stymulowany* popyt będzie dobrodziejstwem dla **wszystkich** zainteresowanych stron.

A że będzie przy tym trochę biurokracji, nadużyć, odejścia od "wolnego rynku" - to wszystko prawda. W USA "znaczkom żywnościowym", jak nazywają się tam bony żywnościowe, to właśnie zarzuca się, ale per saldo uważa się, że jest to **lepsze** niż nic.

Pomiędzy białym i czarnym, czy to w gospodarce centralnie planowanej czy wolnorynkowej, jest wiele kolorów. Tylko dogmatycy i ludzie bez poczucia rzeczywistości trzymają się jednego!

Inne rozwiązanie, trudniejsze, bardziej *antyrynkowe* w konwencjonalnym pojęciu, to **zmiana** relacji cenowych, jakie ukształtowały się w wyniku reform. Ceny artykułów rolnych **za bardzo** spadły w relacji do przemysłowych. Wynika to **nie** z praw wolnej konkurencji, *doskonałego rynku*, ale właśnie *niedoskonałego rynku*, praktyk monopolistycznych, uprawianych przez szerokopojęte Miasto wobec Wsi.

Jak to zrobić w warunkach nie istnienia państwowej komisji cen oraz innych instytucji, trzymających rękę na pulsie gospodarki, jeśli coś takiego w ogóle w Polsce istnieje, to już inna sprawa.

Coś trzeba jednak robić! Jeśli nie podwyższyć średniej ceny żywności, to obniżyć w relacji do niej ceny towarów przemysłowych i innych usług. W przypadku tych ostatnich, niech to nawet nie będzie żadna obniżka opłat, a tylko *przywrócenie* niektórych z tych usług, jak w kolejowym ruchu pasażerskim czy autobusowym na niektórych trasach. Oszczędzi to chłopu sporo czasu na dojazdy, jak i wydatków.

Będzie to kosztować? Oczywiście, że będzie, ale przy okazji wzrośnie zatrudnienie, nierzadko na wsi, gdzie problem bezrobocia jest największy, a to też się liczy. A czy Polski nie kosztuje "obłąd samochodowy", który w jej handlu zagranicznym, stanowi dziś główną deficytową pozycję asortymentową?

Szerzej też trzeba sięgać do rozwoju **bezgotówkowej** wymiany pomiędzy Wsią i Miastem, towar za towar. Pieniądz pomaga wymianie, ale i bez niego istniała ona zawsze, a historycznie zaczęła się bez jego pośrednictwa, zanim niektóre towary "nie mianowano" pieniądzem.

Więcej zatem *niekonwencjonalnych rozwiązań!* Nie ma nic gorszego niż trzymanie się dogmatów. Postęp miał zawsze u swoich podstaw *wątpienie* w doskonałość istniejących rozwiązań, a ilość możliwych rozwiązań zawsze była *nieskończona*. Polacy są pomysłowi, zwłaszcza w warunkach nadzwyczajnych, a w takich *ciągle* przychodzi im żyć, bez względu na to czy to socjalizm czy kapitalizm.

C. *Liczyć tylko na siebie.*

Od niepamiętnych czasów Polacy **za dużo** liczą na czyjąś pomoc, ziemską i pozaziemską.

Najwyższy czas, żeby zaczęli liczyć **tylko** na samych siebie.

Pozostawiając na uboczu pomoc pozaziemską, gdzie jest ta ziemską? Czasami bywało jej nieco, ale **nigdy** za dużo. Niemcy z b. NRD, ponad 2-krotnie mniej liczni od Polaków i bardziej zamożni, dostali od swoich współbraća z Łaby już ponad 900 miliardów dolarów i to za mało. Prawie 7-krotnie od Polski mniej liczny i 3-krotnie bogatszy Izrael, otrzymał z zewnątrz już ponad 300 miliardów dolarów, nadal dostając od USA masową pomoc. Gdyby ją przeliczyć w relacji na głowę mieszkańca Polski, to wyniosłaby ok. 25 mld. dolarów rocznie. Wtedy nawet przy obecnych porządkach żyłoby się Polakom dobrze.

Niestety, takich "dobrych wujków" Polacy nie mają i dobrze będzie, jeśli bliżsi i dalsi sąsiedzi nie oskubią ich z tego co mają. A jeśli tak nawet nie będzie, to trzeba wreszcie wyleczyć się z "obcych zbawców". Jeden z nich, Daewoo, zwija teraz manatki, a co będzie z innymi - zobaczymy. Wszyscy się cieszą, że polskie wyroby cukiernicze idą dobrze w eksporcie, ale mało kto wie, że jest w nich kakao i cukier z importu, gdyż krajowy za drogi. Zysk zaś idzie nie do polskiej kieszeni.

Polacy, choć koniecznie chcą uwierzyć w coś przeciwnego, nie cieszą się sympatią w świecie, a w każdym razie nie tam, gdzie potrzeba. Każdy ogląda się za swoimi interesami, a Polakom tylko wmawia, że są one także ich interesami.

Sprawy polskie, mówiąc bez osłonek, wyglądają **źle** w świecie już dziś, a jutro może być jeszcze gorzej. Wydając na badania naukowe tylko 0,4 procent PKB, jeden z poziomów najniższych w Europie, trzeba zapomnieć o własnej myśli technicznej. Polska nie ma też praktycznie **żadnej** z 5-ciu gałęzi przemysłowych, które ciągną w świecie rozwój gospodarki do przodu. Brak tych przemysłów widać na strukturze towarowej eksportu, którego udział w światowym eksporcie spadł już poniżej 0,5 procent, choć w czasach przed-

wojennych i w latach 1970-ch wynosił jeszcze 1 procent.

Nic też **nie wskazuje** na to, że przyszłość zmieni ten obraz sytuacji, zwłaszcza kapitał obcy. Jak dotąd, poza montażem samochodów, jakoś tego nie widać i dobrze będzie, jeśli zakupionych zakładów nie rozbierze i placu po nich nie zasieje trawą, jak po "Elwro" we Wrocławiu. Polska nie ma ropy naftowej, gazu ziemnego i niektórych rzadkich metali, które byłyby poszukiwane przez kraje rozwinięte. Polska zaś produkcja przemysłowa i rolna - nie jest nikomu potrzebna. Niskie koszty polskiej robocizny są i tak o wiele za wysokie od chińskiej i Trzeciego Świata, a jakość jej wyrobów nie lepsza. Nikt też na świecie nie będzie się przejmował polskim 13-procentowym bezrobociem, gdyż ma swoje własne na głowie. Przeciwnie, jeszcze je wywiezie do Polski w postaci swoich produktów. Albo zamknie wykupione polskie zakłady, żeby nie mieć konkurenta dla własnej robocizny.

Wszystko to nie byłoby jeszcze takie straszne, gdyby Polska miała *silną* gospodarkę, na którą tak bardzo liczyła, porywając się na transformację systemową. Nikt nie zaprzecza, że z *polskim socjalizmem* było bardzo źle, ale przecież z *polskim kapitalizmem* jest wcale nie lepiej! Jak dotąd, marnie startuje. Wynik finansowy netto polskich firm za 1998 r., wykazujący *plus* w wysokości tylko ok. 1,3 mld. dolarów, toż to przysłowiowy śmiech na sali! Mobilizacji potrzebnego dla przyśpieszonego rozwoju nie zapewni też warszawska Giełda Papierów Wartościowych, latami wędnąca i dopiero ostatnio wykazująca ożywienie, nie wiadomo na jak długo, jak też Narodowe Fundusze Inwestycyjne, które jakoś nijak nie mogą "zaskoczyć".

Nieprawdą jest więc przekonanie, że wszystko rwie do przodu, tylko "wiejska kula" wlecze się u nogi! Żeby tylko nie zdarzyło się, że do Wsi przyjdzie Miasto po ratunek. Idzie przecież dezindustrializacja Polski, a przemysłu nie zastąpią kantory wymiany walut.

W tej niezbyt obiecującej rzeczywistości - niech Polacy **wystrzegają się "odrolniczenia"** kraju! Niech nie słuchają Brukseli, że polskie rolnictwo jest beznadziejnie chore i pora mu w zaświaty.

Polska, nawet przy założeniu, że "II plan Balcerowicza" wykona w najwyższym wariantcie, jeszcze długo **nie wyrówna** dzielących ich od Zachodu różnic w poziomie rozwoju. A co będzie, jeśli popadnie w kryzys? Gospodarka polska **nie jest** przecież żadnym samograjem, że na całym świecie wojna, a ona spokojna!

A co do odrabiania dzielących Polskę od Zachodu różnic rozwojowych, po aptekarsku wyliczonych w dolarach na głowę - nie należy przesadzać! Jakości życia **nie mierzy się** wyłącznie wysokością PKB na głowę.

Ważniejsze, żeby w Polsce zlikwidować głód, wszędzie tam, gdzie on

jeszcze ludziom doskwiera. Przecież nie ma wojny i obcej okupacji!

Dach nad głową też trzeba dać, gdyż Polacy, z braku kąta dla młodych małżeństw, zaczynają wymierać.

I nade wszystko dać pracę, nawet *mniej* wydajną niż gdzieindziej, ale dać! Zwłaszcza młodym, których bezrobocie wpędza w pijaństwo, narkomanię i palenie tytoniu, które obcy kapitał może w Polsce bezkarnie propagować, nie mogąc już u siebie!

Niech Polacy zakopią dzielący ich topór wojenny i niech przestaną sobie wzajemnie wypominać kto i za czym stał, a zaczną wreszcie budować **jedność** narodową, której jakżeż im brak!

A Wieś, która zawsze miała większy od Miasta umiar w postępowaniu i rzadziej ulegała nastrojom chwili, nie tylko nie jest żadną kulą u czyjejs nogi, ale nadzieją na odegranie **czołowej** roli w cementowaniu jedności Narodu Polskiego.

Tytuł broszury, "Bezdroża polskiego rolnictwa", nie wymaga, w świetle przytoczonych faktów, żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Co najwyżej, podkreślenia wymaga teza, że tak jak na przestrzeni wieków problemów rolnictwa w Polsce nie rozwiązano, tak też **nadal** ich się nie rozwiązuje. Po 1989 r. jest pod tym względem nawet **gorzej** niż kiedykolwiek przedtem, gdyż uczepiono się nadziei, że to zagranica, Unia Europejska głównie, rozwiąże problemy, których sami Polacy nie mogą i nawet nie chcą rozwiązać.

Są to **plonne** nadzieje. Problemów rolnictwa polskiego **nikt** poza samymi Polakami nie rozwiąże!

Niestety, jak dotąd **nie podejmują** wysiłków, żeby *razem i zgodnie* zabrać się do tego. Wierzą, że bądź "niewidzialna ręka rynku", rynku *wynaturzonego* przez rodzący się w Polsce "kapitalizm kryminalno-pazerny", zdominowany przez obcy kapitał, uczyni to za nich bądź Unia Europejska.

Pomyłają się sromotnie i jak zawsze - *Polak będzie mądry po szkodzie...*